

## W 20. rocznicę posadowienia Milenijnego Krzyża w Limanowej



Fot. Karol Wojtas

**Quo vadis, Domine?  
Renowacja obrazu na starym cmentarzu  
parafialnym w Limanowej**

**Magia, magia, magia...  
spotkanie autorskie  
prof. Andrzeja Kuliga**

**IX i X Spacer Historyczny  
po Limanowej**

**20 lat z „Echem Limanowskim”  
- miscellanea**

**Nie widziałeś księdza z krową?  
Na wspomnienie wielebnego  
Zdzisia Sąsiadka**

**Człowiek silnego charakteru  
- w 60. rocznicę śmierci  
Juliana Czeczółki**

**Niemiecki obóz pracy w Limanowej**

**Udział limanowian w „Bitwie o Anglię”**

**Ślady września 1939 roku  
na Ziemi Limanowskiej**

**Wyprawa TOO-TIKI cz. III  
Przejście Atlantyku  
z Cabo Verde na Martynikę**



Obraz przed konserwacją

## Obraz umieszczony w niszy ściany pomnikowej cmentarza wojennego nr 366 w Limanowej



Obraz po konserwacji

Fotografie: Józef Stec, Stanisław Ociepka

# Quo vadis, Domine? Obraz na starym cmentarzu parafialnym w Limanowej



Chrystus pochylający się nad polskim żołnierzem, obraz Franciszka Mraźka. Fotografia wykonana przez Jerzego Kołodziejczyka w 1995 roku

Jakże dziś aktualne są rozważania dr. Józefa Szymona Wrońskiego, który dwadzieścia cztery lata temu w artykule zatytułowanym: „Quo vadis, Domine” („EL”, nr 18-19, styczeń-luty 1995 r.) m. in. napisał: (...) *W kwaterze poległych w I wojnie światowej żołnierzy (cmentarz wojenny nr 366) na trójkącie zwieńczonej ścianie pomnikowej (mającej przypominać fasadę kaplicy) z kamienia ciosowego, we wnęce umieszczony jest o symbolicznej wymowie olejny obraz namalowany na płótnie przez Franciszka Mraźka, limanowskiego artystę.*

*Obraz ten narażony jest na różnego rodzaju niebezpieczeństwa. Należałoby pomyśleć o jego renowacji (...).*

Wprawdzie po tym artykule z inicjatywy ks. prałata Józefa Poręby, po konsultacjach z ks. bp. Piotrem Bednarczykiem oraz dr. Józefem Szymonem Wrońskim została zlecona i przeprowadzona wstępna zabezpieczająca renowacja obrazu, ale dopiero po przeszło dwóch dekadach od napisania tego artykułu obraz wreszcie doczekał się fachowego odrestaurowania i wrócił w lipcu br. na swoje pierwotne miejsce.

We wspomnianym artykule dr. Józef Szymon Wroński prezentuje dalej swoje przemyślenia: (...) *a może by tak go przenieść do Muzeum Parafialnego, a kopię sporządzoną przez dobrego malarza umieścić na cmentarzu? Pomyślmy o tym, zanim nie będzie za późno, zanim „zły duch cmentarny” nie pozbawi Limanowej wartościowego dzieła. A przecież Limanowa nie jest zbyt bogata w ruchome zabytki artystyczne.*

Warto więc, by tę sugestię wzięły pod uwagę odpowiednie instytucje kultury!

Poniżej prezentujemy informacje związane z przebiegiem konserwacji, a także z dziejami tego obrazu, które przybliży Karol Wojtas, limanowski regionalista oraz przedstawiamy wartości historyczno - artystyczne tego dzieła, w interpretacji dr. Józefa Szymona Wrońskiego, historyka sztuki.

Stanisław Ociepka

## Karol Wojtas

W ostatnich miesiącach obraz umieszczony w niszy ściany pomnikowej cmentarza wojennego nr 366 przeszedł proces renowacji. Obraz ten wymagał już pilnej konserwacji, dlatego że warunki atmosferyczne, które przez lata oddziaływały niekorzystnie na dzieło namalowane przez Franciszka Mrażka doprowadziły do dużych zniszczeń malowidła. W lutym bieżącego roku obraz został zdemontowany i zabrany do pracowni konserwatorskiej ARStec w Nowym Sączu, prowadzonej przez konserwatora dzieł sztuki Józefa Steca. Tam dzięki różnym zabiegom konserwatorskim obraz przywrócony został do stanu, jaki miał, gdy ponad siedemdziesiąt kilka lat temu wyszedł spod pędzla Franciszka Mrażka. Na początku lipca dzieło Mrażka powróciło na swe miejsce przeznaczenia w niszy ściany pomnikowej na limanowskim cmentarzu.

Renowację obrazu przeprowadzono zgodnie z programem konserwatorskim opracowanym przez mgr. Marka Sawickiego z Krakowa i zatwierdzonym przez Nowosądecką Delegaturę Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Krakowie. Konserwację obrazu sfinansował Małopolski Urząd Wojewódzki w Krakowie.

Jak zaznaczył konserwator mgr Józef Stec: „Obraz ten był bardzo zniszczony. Płótno, na którym Franciszek Mrażek namalował przedstawienie Chrystusa było przymocowane do drewnianego podłoża, które składało się z kilkunastu deseczek. Warunki atmosferyczne, które oddziaływały na drewniane podłoże doprowadziły do licznych spleciań i odspojenia się warstwy malarskiej. Obraz przeniesiony został na nowe podłoże z żywicy epoksydowej. Ubytki malatury uzupełniono tylko w koniecznym zakresie, a prace przy nim trwały dwa miesiące.”

Efekt zabiegów konserwatorskich Czytelnicy „Echa Limanowskiego” mogą zobaczyć, oglądając obraz na limanowskim cmentarzu.

## Dzieje obrazu „Chrystus pochylający się nad rannym żołnierzem”

Obraz przedstawiający Chrystusa pochylającego się nad rannym żołnierzem namalował w latach 40. XX wieku limanowski artysta malarz Franciszek Mrażek (1891-1970). Życie i twórczość tego artysty



Kwatera wojenna na cmentarzu parafialnym w Limanowej - 1918 rok. Fot. arch. Archiwum Narodowe w Krakowie



Nekropolia wojenna nr 366 w Limanowej. Fotografia z lat 30. XX wieku. Uroczyste składanie wieńców i warta honorowa z okazji nieznanego rocznicy. Trudno stwierdzić (niewyraźna fotografia) czy na zdjęciu jest Chrystus czy Matka Boska z Dzieciątkiem. Fot. arch. albumu „Okruchy pamięci”

były wielokrotnie przedstawiane na łamach „Echa Limanowskiego”, zaś w numerze 290-291 z 2018 r. tego dwumiesięcznika, na str.10-13, przedstawiono dzieje cmentarza nr 366, a na archiwalnych fotografiach z Archiwum Narodowego w Krakowie oraz Archiwum Albumu „Okruchy Pamięci”, ukazano zarówno budowę cmentarza, jak i historię obrazu tam umieszczonego.

Rodzi się jednak pytanie, co znajdowało się wcześniej w tym miejscu?

Odpowiedź nie jest łatwa, mimo że mamy dostęp do oryginalnych planów i archiwalnych fotografii tej nekropolii. Po zakończeniu prac budowlanych na cmentarzu wojennym nr 366 w 1918 roku prowadzonych przez

Oddział Grobów Wojennych C. i K. Komendantury Wojskowej w Krakowie według pierwotnych planów w niszy ściany pomnikowej miał znaleźć się na pewno obraz. Niestety nie wiadomo do końca, z jakim przedstawieniem. Dostępne dokumenty w archiwach nic o tym nie mówią. Według planów w Archiwum Narodowym w Krakowie wiadomo, że nisza była wykonana na pewno pod obraz, ale upadek cesarstwa austro – węgierskiego przeszkodził w dokończeniu urządzania cmentarza wojennego nr 366 tak jak i wielu innych galicyjskich nekropoli wojennych. Fakt, że nisza była przeznaczona pod obraz potwierdzają specjaliści zajmujący się badaniem galicyjskich cmentarzy wojennych tacy

jak: dr Agnieszka Partridge z Krakowa czy mgr Krzysztof Garduła z Krakowa. Analizując dokumenty archiwalne, które znajdują się w zbiorach Archiwum Narodowego w Krakowie na zdjęciach przedstawiających nekropolię wojenną nr 366 w Limanowej w 1918 roku można zobaczyć, że nisza jest pusta i przygotowana na umieszczenie w niej jakiegoś elementu. (Na jednym ze zdjęć widzimy umieszczony tam wieniec z jedliny i kwiatów). Natomiast na zdjęciach z lat 30. XX wieku przedstawiających uroczystość składania wieńców i wartę honorową na tej nekropolii z okazji nieznannej rocznicy, a także na innym zdjęciu przedstawiającym prace porządkowe wykonywane przez młodzież szkolną widać, że w niszy umieszczono przedstawienie postaci z nimbem (aureolą) wokół głowy. Trudno stwierdzić (niewyraźna fotografia) czy na zdjęciu jest Chrystus czy Matka Boska z Dzieciątkiem. Być może był to jakiś oleodruk lub drukowany obrazek. Kolejne dostępne archiwalne fotografie, pochodzące już z lat 40. XX wieku, wyraźnie ukazują treść obrazu Franciszka Mrażka.

Jak wynika z przekazu rodzinnego Mrażków, obraz ten miał artysta namalować po tym, jak jego syn Kazimierz powrócił szczęśliwie z frontu II wojny światowej. Na malowidle można dostrzec, że żołnierz ma na sobie mundur Wojska Polskiego z okresu II Rzeczypospolitej. Po ostatnich pracach konserwatorskich okazało się, że płótno użyte przez artystę jest to najprawdopodobniej worek jutowy, co by mogło potwierdzać tezę o namalowaniu przez Mrażka tego obrazu jeszcze podczas trwania II wojny światowej lub zaraz po jej zakończeniu.

Osoby, które mogą coś więcej dodać do przedstawionych wyżej faktów proszone są o kontakt z redakcją „Echa Limanowskiego”.

### Józef Szymon Wroński

Oto Chrystus – Odkupiciel świata odwiedza pole bitwy II wojny światowej. Idąc, napotyka upadłego, rannego żołnierza, którego mundur zdradza, iż jest to żołnierz polski. Żołnierz wpatruje się w Chrystusa, zdaje się go pytać: *Quo vadis, Domine?* Chrystus podając mu rękę, dźwiga go z upadku, a drugą, skierowaną ku niebu, wskazuje mu cel ziemskiej wędrówki – ziemskiego wojowania. Niezwykła jest wymowa rąk, prowadząca od ręki klęczącego żołnierza poprzez



W niszy ściany pomnikowej obraz Franciszka Mrażka - lata 40. XX w. Fot. arch. albumu „Okrucy pamięci”

spłecione ręce Chrystusa i żołnierza, do ręki Chrystusa wskazującego, iż ojczyzną człowieka jest niebo, o które należy walczyć po rycersku. Trzeba, by żołnierz tułacz przedzierzgnął się w żołnierza Chrystusowego. Pośrednio zawiera się w tym obrazie aluzja do wskrzeszenia Łazarza, a zatem do wskrzeszenia Ojczyzny.

Interesująca jest kolorystyka obrazu. Obraz przecina linia horyzontu, wyznaczając partię ziemi – ojczyzny ziemskiej i partię nieba – ojczyzny wiecznej. Szare barwy ziemi odcinają się od partii błękitnego nieba, zarazem się wzajemnie podkreślając. Brązowo - zielonkawy kolor uniformu harmonizuje z barwą ziemi, zaś wertykalna, posągowo – hieratyczna

postać Chrystusa w różowej szacie jest silną malarską plamą, która długo pozostaje w pamięci. Obraz ten o nostalgicznym nastroju, pozwala nam zamyślić się nad tą ziemią, przez którą przetoczyła się nawałnica zarówno I, jak i II wojny światowej.

Obraz posiada cechy romantycznego klasycyzmu, a także akademizmu. Wyszedł spod ręki dobrego – poprawnego malarza, chociaż jest, jak na lata 40., w których prawdopodobnie powstał, nieco zapóźniony. Autorem obrazu jest Franciszek Mrażek (1891-1970) – limanowski malarz, pozostający pod wpływem swego mistrza Aleksandra Mroczkowskiego (1850-1927) i jego obrazów, znajdujących się w sali recepcyjnej limanowskiej plebanii.

# W 20. rocznicę posadowienia Milenijnego Krzyża w Limanowej



Widok na Milenijny Krzyż ze szczytu Chłopskiej (Miejskiej) Góry, który znajduje się przy ostatniej stacji Drogi Krzyżowej

„Na początku były tam kępy porośnięte trawami, pełne kamieni, zarośli i rośli tam dzikie drzewa owocowe, zaś pośrodku stała wielka rozłożysta grusza, a na zboczach wzniesienia miejscowi gospodarze uprawiali pola”. Tak wspomina polanę, która usytuowana jest w obniżeniu Chłopskiej (Miejskiej) Góry, Antoni Mamak, senior limanowski, od urodzenia mieszkający „Pod Górą”. Jej szczyt znajduje się w przewężeniu Łysej Góry i jest oddalony od owej polany około 200 m w kierunku północnym. Oba te wzniesienia znajdują się w Paśmie Łososińskim Beskidu Wyspowego. Na tej to właśnie polanie został wybudowany Milenijny Krzyż, z którego roztacza się piękny widok na Limanową, Beskid Wyspowy, Beskid Sądecki, Gorce i Tatry.

Pomysł wzniesienia Monumentu zrodził się 24 lata temu, kiedy na wiosnę 1995 roku w rodzinie Państwa Pilawskich powstała idea uczczenia przejścia w nowe stulecie i tysiąclecie budową Krzyża na jednej z gór otaczających miasto. Myśl tę władzom samorządowym Limanowej

przedstawił Andrzej Pilawski, ówczesny członek Zarządu Rady Miasta, prezentując rysunki wykonane przez brata architekta, Leszka Pilawskiego. Pomysł uzyskał przychylną opinię osób od których miała zależeć dalsza jego realizacja.



Niedługo potem o zamiarze budowy Krzyża – Monumentu największego w Polsce, poprzez prasę lokalną dowiedziało się społeczeństwo limanowskie.

W „Echu Limanowskim” (nr 26 z października 1995 r.) ukazał się pierwszy artykuł informacyjny Jerzego Bogacza zatytułowany „Na szczycie góry, na granicy wieku”. Tekstowi towarzyszyła ilustracja przedstawiająca architektoniczny projekt monumentu. Tym artykułem rozpoczął się patronat medialny miesięcznika nad realizacją tego dzieła.

Dalsze postępowania w urzeczywistnieniu podjętego zadania potoczyły się szybko. W listopadzie powołano Społeczny Komitet Budowy Krzyża, na czele którego stanął Ryszard Kulma, a rolę Komitetu na pierwszym etapie działania stały się sprawy administracyjne.

Przy dalszej realizacji tego przedsięwzięcia trzeba było pokonać nie tylko ogromną ilość trudności, ale również zmagać się z samą górą. Jednak pomimo trudności związanych z budową Krzyża nikt z osób, które podjęły wyzwanie realizacji tego projektu nie brał ich pod uwagę. Argumentem do przystąpienia wypełnienia tego zadania był sam Krzyż jako symbol wiary oraz szansa pokazania, co potrafią ludzie nawet w ekstremalnych warunkach.

Działkę pod Krzyż nieodpłatnie przekazał śp. Stefan Matłąg, który również cały teren uporządkował.

Motywuującym do działania stała się także pierwsza kwesta w limanowskich kościołach, która uwiarygodniła ten pomysł i odpowiedziała na pytanie, czy będzie można liczyć na wsparcie ze strony limanowian.

Publicznie na temat budowy Monumentu wypowiedzieli się zarówno ludzie świeccy, jak również i duchowni. Oto niektóre z nich: Ksiądz bp Piotr Bednarczyk wówczas mówił: „Do Krzyża będą pielgrzymi udawać się chętnie, bo będzie wielki, wysoko postawiony, piękny. Będą przychodzić z ciekawością, aby spojrzeć na dalekie horyzonty, ale i z pobożności. Będą też przychodzić, po pociechę w takim czy innym smutku”. Natomiast ks. prałat Jan Bukowiec stwierdził: „Cóż godniejszego można było wymyśleć na przełomie tysiącleci jak budowa Krzyża Milenijnego. Chwała więc tym wszystkim, którzy taką decyzję podjęli, bo czym miałyby się chwalić nasze pokolenie oraz następne, jak nie w wierności Krzyżowi”. Zaś proboszcz parafii



Kazimierz Wojtas i Jan Joniec wizytują ścinikę drzewa pod Milenijnym Krzyżem

limanowskiej, ks. prałat Józef Poręba w księdze pamiątkowej napisał: „W trzecim stuleciu naszej ery pisarz chrześcijański, Tertulian napisał znamienne wyznanie: – Wierzymy, że istnieje miejsce będące środkiem całej Ziemi. Żydzi w języku swych ojców nazywają je Golgotą. Parafrazując słowa Tertuliana wyznajmy: – Wierzymy, że istnieją dwa miejsca będące środkiem Ziemi Limanowskiej: Bazylika Matki Boskiej Bolesnej i Jubileuszowy Krzyż na Miejskiej (Chłopskiej) Górze”.

Śp. Jerzy Kołodziejczyk, znany reżyser i fotografik, autor filmu o limanowskim krzyżu powiedział: „Poprzez Krzyż Limanowa poszerzyła swoje granice tak w znaczeniu urbanistycznym, jak i w wymiarze kulturowym”. Zaś dr Józef Szymon Wroński, historyk sztuki, limanowianin z urodzenia wspomina: Pewnego dnia poprosił mnie ks. bp Piotr Bednarczyk bym przyszedł do Niego. Gdy się zjawiłem, spytał mnie, co sądzę o nowej inicjatywie wzniesienia Krzyża w Limanowej. Powiedziałem wtedy, że inicjatywa jest ze wszech miar godna podziwu, tylko brakuje temu krzyżowi kaplicy i dodałem, że gdy będą uroczystości, Msza św. odbywać się będzie na platformie widokowej Krzyża,

ale w dni powszednie będą przychodzić turyści – pielgrzymi, którzy chcąc się pomodlić, wejdą do kaplicy – odpowiedniego miejsca skupienia na modlitwę. Dodałem jeszcze: księżę biskupie, obecnie w Polsce buduje się wiele krzyży, ale ten z kaplicą w Limanowej będzie jedynym tego rodzaju w Polsce. Ksiądz biskup zadzwonił do architekta Leszka Pilawskiego i ten od razu uzupełnił projekt o kaplicę pod platformą widokową Krzyża.

Tak więc prawie ćwierć wieku temu ruszyła budowa Krzyża Milenijnego w Limanowej, który stał się symbolem naszego miasta. Dziś, kiedy od 20 lat góruje on nad Limanową, można mówić o przeszłości, a wydarzenia związane z jego budową i osoby zaangażowane w dzieło jego tworzenia przeszły już do historii. Opis kolejnych etapów pracy nad realizacją tego dzieła można odnaleźć w archiwalnych wydaniach „Echa Limanowskiego”, miesięcznika jak wspomniałem, który miał prasowy patronat nad przedsięwzięciem. Wspomnienia o urzeczywistnieniu tego projektu społecznego można również odszukać w wydawnictwie okolicznościowym zatytułowanym: „Księga ►



Widok z platformy Krzyża Milenijnego w kierunku miasta. Na pierwszym planie widoczna ścinka po jodłach zasłaniających Jubileuszowy Krzyż - 8 lipca 2019 r.

Reportaż fotograficzny na stronach 34-35





*Pamiętkowa 1995-1999, Krzyż Brama w Trzeciej Tysiąclecie*” przygotowanym przez Komitet Redakcyjny w składzie: Halina Matras, Zbigniew Sułkowski, Alicja Kulma, Ilona Machowicz – Jurowicz, wydanym przez „Związek Limanowian” i Społeczny Komitet Budowy Krzyża w roku 1999.

Minęły dwie dekady od posadzenia Krzyża na polanie pod obniżeniem Chłopskiej (Miejskiej) Góry. W tym czasie zmieniały się władze samorządowe na czele z burmistrzami, którymi kolejno byli: Roman Duchnik, Leszek Woźniak, Marek Czeczotka i Władysław Bieda. Również i władze diecezji tarnowskiej w tym czasie obejmowali kolejni biskupi: ks. bp Józef Życiński, ks. bp Wiktor Skworec i ks. bp Andrzej Jeź, zmienił się także proboszcz limanowski, ks. prałata Józefa Porębę zastąpił ks. Wiesław Piotrowski.

Nieubłagalnie upływający czas przeniósł do wieczności wiele osób związanych z czynem budowy Monumentu. Wśród nich byli ks. bp Piotr Bednarczyk wielki orędownik dzieła budowy Krzyża, a także ks. prałat Jan Bukowiec proboszcz parafii w Sowlinach, który miał wielki wpływ duchowy na podejmowane działania, o czym w dalszej części felietonu.

Powracając do wspomnień należy przypomnieć, iż to właśnie ks. bp Piotr Bednarczyk witał papieża Jana Pawła II przed limanowską bazyliką 16 czerwca 1999 r., kiedy jechał do Starego Sącza na kanonizację św. Kingi. Kiedy kolumna samochodów zatrzymała się, ks. bp Bednarczyk podszedł do samochodu papieskiego i zamienił z Janem Pawłem II kilka zdań. Później pytany przez dziennikarzy o czym rozmawiał z Ojcem Świętym powiedział, iż tę informację przekaże przy Krzyżu na Chłopskiej (Miejskiej) Górze.

I tak się też stało. Z relacji Kazimierza Wojtasa, budowniczego Krzyża, który wywiózł ks. biskupa na szczyt góry wynika, że wywiad był krótki. Ks. bp Piotr Bednarczyk powiedział: „**Papież, zatrzymując się na limanowskim rynku, pobłogosławił mieszkańców Ziemi Limanowskiej, miasto Limanowa i Krzyż Milenijny. Ponieważ Ojciec Święty z helikoptera, który miał przelecieć nad krzyżem nie mógł tego dokonać, ja symbolicznie czynię to**”.

Tak więc wzniesiony w roku 1999 Krzyż góruje nad Limanową. Widoczny z centrum miasta i wszystkich dróg dojazdowych



Kazimierz Wojtas - inicjator uporządkowania terenu przy Jubileuszowym Krzyżu - lipiec 2019 r.

do stolicy Beskidu Wyspowego stał się atrakcją turystyczną Limanowej. U jego stóp odbywa się wiele spotkań turystycznych, a w kaplicy pod platformą widokową odprawiane są Msze św. w różnych intencjach. Tak jest od wielu lat, ale i przyroda niesie wiele zaskoczeń. Tereny poniżej polany, na której posadowiony został Krzyż, były do tej pory polami uprawnymi, a las był młodnikiem. Z upływem czasu pola zarosły, a i drzewa w lesie wyrosły potężne. Krzyż więc, który dumnie dominował nad miastem, z upływem czasu coraz mniej był widoczny z centrum Limanowej i niektórych kierunków dojazdowych do miasta.

Swego czasu śp. ks. prałat Jan Bukowiec powiedział do Kazimierza Wojtasa – budowniczego Krzyża: „*Panie Kazimierzu, zróbcie coś, aby Krzyż był widoczny. Kiedy został on postawiony, to ja widziałem go w całej okazałości, gdy wyszedłem z budynku plebanii w Sowlinach, a dziś widzę zaledwie jego górną część*”.

Pan Wojtas, człowiek głębokiej wiary i szacunku dla tradycji, słowa ks. prałata wziął sobie głęboko do serca. Czas nadal płynął, a Krzyż coraz to mniej był widoczny. Ograniczona została również widoczność z platformy widokowej na niektóre fragmenty miasta. Problem przywrócenia widoczności Krzyża nie był prostym zadaniem do rozwiązania, chociażby ze względu na to, iż działki

na których wyrosły potężne jodły są terenami prywatnym. W międzyczasie zmarł ks. prałat Bukowiec. A w pamięci p. Wojtasa cały czas pozostawała rozmowa o Krzyżu Jubileuszowym z ks. Janem, o której przypominało mu popiersie księdza umieszczone na cokole przed sowlińskim kościołem „spoglądające w kierunku krzyża”, kiedy tamtędy przejeżdżał. Natomiast firma p. Wojtasa w Ujanowicach gdzie zbudowany został Krzyż Milenijny została przekazana synowi, a sam jego konstruktor cały czas powracał myślami do rozmowy z ks. Bukowcem sprzed lat. Problem ponownie odżył w 20. rocznicę posadzenia Jubileuszowego Krzyża z tym większą siłą, iż u p. Kazimierza pojawiły się problemy zdrowotne. On sam jest wewnętrznie przekonany, że zarówno systematyczne zabieganie o wiele spraw związanych z Krzyżem Milenijnym, w których od lat, jak mówi, wspiera Go obecny burmistrz miasta, jak również podjęcie działań zmierzające do wyrazistego wyeksponowania tego Monumentu dla Niego stały się kwestią honoru i satysfakcją, a przede wszystkim dają mu siłę do działania, dzięki łasce Bożej oraz opiece Limanowskiej Pani w trudnej Jego życiowej sytuacji. Wszystkie te Jego działania składają się na wotum wdzięczności.

Dlatego w czerwcu br., w 20. rocznicę posadzenia Krzyża i pobłogosławienia przez papieża Polaka, Kazimierz Wojtas podjął usilne starania, aby przywrócić widoczność na ten Monument górujący nad Limanową. W działaniu tym wsparli Go żona, przyjaciele i znajomi. Udało się w jego domu zaaranżować spotkanie z właścicielką działki na której wyrosły potężne jodły zasłaniające Krzyż. W sympatycznej szczerzej rozmowie okraszonej wspomnieniami sprzed lat, właścicielka wyraziła zgodę na wycinkę drzew w przekonaniu, że czyni dobro.

Od tego momentu nastąpiły dynamiczne działania p. Kazimierza Wojtasa, które w rezultacie doprowadziły do tego, że po wielu latach, 28 czerwca br. ponownie ze wszystkich stron Limanowej możemy w pełnej krasie oglądać Krzyż Milenijny. Tak więc dzieło postawienia Krzyża sprzed dwudziestu lat, do którego przyczyniły się dziesiątki ludzi dobrej woli, dziś dzięki działaniu p. Kazimierza Wojtasa ponownie odżyło!

**Fotografie: Janina Wojtas, Hanna Zawada, Stanisław Ociepka.**

# Magia, magia, magia...

## Spotkanie autorskie prof. Andrzeja Kuliga

Chciałoby się powiedzieć: magiczny wieczór. Takie wrażenie pozostało mi w pamięci, a przecież spotkanie odbyło się popołudniem w czerwcowy, jasny i słoneczny dzień. Jak widać magia zadziałała. Magia osoby, magia opowieści, magia atmosfery.

Ale po kolei – o czym właściwie mowa?



Profesor Andrzej Kulig w czasie promocji swojej książki w Limanowej

13 czerwca br. w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Limanowej odbyło się autorskie spotkanie promujące książkę Andrzeja Kuliga, profesora Politechniki Warszawskiej. Autor jest limanowianinem z pochodzenia, chociaż całe swoje dorosłe i zawodowe życie spędził w stolicy kraju. Tym razem jednak spotkanie nie dotyczyło sfery naukowej działalności pana Profesora, lecz jego pasji pozazawodowej, podróży w odległe zakątki globu. Podróży tematycznych, gdyż niemal zawsze głównym celem wypraw Andrzeja Kuliga są wysokie góry.

Jak sam Autor przyznaje, przyjemność sprawia mu poznawanie odległych górskich krain, również pod kątem doświadczeń naukowych, i zdobywanie imponujących szczytów. Jednak oprócz samego pokonywania coraz to nowych wyzwań Autor posiada silną potrzebę pisania, literackiego dzielenia się z innymi tym, co w Jego życiu ważne i piękne. Wiele razy czytelnicy „Echa Limanowskiego” mieli okazję spotykać się z tekstami Autora, aż w końcu dzięki tym publikacjom

powstała praca większego formatu, książka „Pół korony i inne wyprawy”. O niej postanowił w Limanowej opowiedzieć prof. Andrzej Kulig.

Spotkanie rozpoczęła krótkim i sympatycznym wprowadzeniem pani dyrektor Joanna Michalik, po czym mikrofon powędrował do pani Danuty Kądziołki (MBP Limanowa), która jak się okazało, była dobrym duchem spotkania. Pani Danuta w pełnym ciepła wystąpieniu opowiedziała o przygotowaniach do spotkania autorskiego, o wcześniejszych rozmowach i fascynacji osobą Autora, wspominając m.in. o sposobie na warszawskie treningi przed wyprawami w wysokie góry. (Skąd wziąć w Warszawie wysokie góry?! Pozostają do pokonywania uczelniane schody!)

Wreszcie głos zabrał sam Andrzej Kulig. Od pierwszych chwil swojego wystąpienia Autor stworzył niezobowiązującą atmosferę, charakterystyczne, że słuchacze zwracali się do pana Profesora „Panie Andrzeju”, co nie było przejawem braku szacunku dla osiągnięć

naukowych Autora, lecz stanowiło oczywiście wyraz sympatii. Widać było również, że Autor w gronie słuchaczy czuł się po prostu dobrze, do wielu zwracając się po imieniu, gdyż w dużej mierze otoczyli go w trakcie spotkania przyjaciele i sympatycy.

„Pół korony i inne wyprawy” – skąd taki tytuł? Korona Ziemi to dosyć poetycka nazwa kolekcji najwyższych szczytów każdego z siedmiu kontynentów. Na temat tej kolekcji trwają zresztą spory, niektórzy jako najwyższy szczyt Europy uznają Mont Blanc, inni widzą tutaj kaukaski Elbrus. Podobne rozbieżności dotyczą Australii, na samym kontynencie najwyższy szczyt stanowi Góra Kościuszki, jednak inni do terytorium Australii zaliczają Polinezję z jej najwyższym szczytem Puncak Jaya (czyt. Puncak Dżaja), bardziej znany w Polsce jako Piramida Carstensa lub po prostu Carstensz (szczyt został tak nazwany od imienia holenderskiego odkrywcy Jana Carstensa). A więc tytułowe „Pół Korony” to połowa kolekcji najwyższych szczytów na danym kontynencie. Jak opowiadał sam Autor, jego celem nie było jednak zdobycie Korony Ziemi i dlatego nie można mówić o jakimś połowicznym sukcesie. Każda z tych gór to prawdziwe wyzwanie, zdobycie każdej z nich to już pełen sukces. Najlepiej wiedzą o tym ci, którzy kiedykolwiek wysokie góry próbowali zdobywać. Zresztą góry są zawsze nieprzewidywalne. Pewnym zaskoczeniem była opowieść Andrzeja Kuliga o tym, że dość trudną wyprawą było zdobycie Góry Kościuszki w Australii, wcale nie najwyższego spośród zgromadzonej kolekcji szczytu (góra ta ma 2230 m n.p.m., dla porównania Aconcagua w Ameryce Południowej jest ponad trzy razy wyższa – 6961 m n.p.m.).

Podobała mi się również forma spotkania. Trochę obawiałem się, że spotkanie promujące książkę, której tematem są liczne wyprawy, sprowadzi się do pokazywania setek zdjęć, a odbiorcy zostaną zalani dziesiątkami szczegółowych informacji. Nic bardziej mylnego – Autor wybrał skromny, w tym najlepszym



Miłośnicy podróży z Limanowej wysłuchali interesującej prezentacji książkoprof. Andrzeja Kuliga „Pół korony i inne wyprawy”



Po zakończeniu prezentacji prof. Andrzej Kulig podpisywał swoją książkę. Od lewej stoją: Anna Wrona, Robert Widzisz, Jolanta Bugajska

tego słowa znaczeniu, zasób fotografii, ozdobionych dodatkowo opisami, które świetnie pokazywały istotę danej wyprawy, i w ciekawy sposób opowiadał o przygotowaniach i przebiegu każdej z nich.

Trzeba przyznać, że osiągnięć podróżniczych Autorowi nie brakuje i niejednen może ich Andrzejowi Kuligowi pozazdrościć. By nie być gołosłownym wystarczy wymienić tylko kilka krajów, będących celem wypraw górskich Andrzeja Kuliga: Kanada, Iran, Argentyna, Chile, Nowa Zelandia i Australia. Ręce same układały się do oklasków! Gdy Autor zakończył swoją opowieść, okazało się, że słuchacze mają liczne pytania, na które pan Profesor odpowiadał wyczerpująco i z zaangażowaniem.

Spotkanie zakończyło się sympatycznymi gestami – Autor zorganizował konkurs na rozpoznawanie krain geograficznych z fotografii, a zwycięzcy otrzymali w nagrodę egzemplarze książki „Pół korony i inne wyprawy”. Przekazał także do Miejskiej Biblioteki Publicznej w Limanowej pracę naukową, której jest współautorem.

Nie obyło się bez wzruszeń, nie obyło się bez podziękowań. Te ostatnie Autor skierował do wszystkich uczestników spotkania, współpracowników (pani Jolanty Bugajskiej i pani Danuty Kądziółki), a przede wszystkim do panów Stanisława i Dariusza Ociepków z „Echa Limanowskiego”, korzystając z okazji, że może podziękować za dwadzieścia lat (!) owocnej współpracy.

Recenzja spotkania autorskiego to dobra okazja, by poprosić Autora o więcej. Korzystając z łam „Echa Limanowskiego”, zapraszam gorąco pana Profesora ponownie do Limanowej, tym razem wyrażając nadzieję, iż w trakcie kolejnych prelekcji będziemy mieć okazję obejrzenia zdjęć z wypraw w dalekie i wysokie góry. Z wypraw najciekawszych, czyli bez wyjątku z wszystkich! Wszystkie przecież były w jakiś sposób „naj”!

Tymczasem odkładam pióro, czas rozpocząć lekturę, przede mną leży otwarty egzemplarz książki „Pół korony i inne wyprawy”. Do lektury zapraszam i Was, Drodzy Czytelnicy, gdyż spotkanie z Andrzejem Kuligiem stanowiło prawdziwą zachętę do spotkania się z Autorem ponownie, na kartach książki. To dobra wiadomość dla tych, którzy na spotkanie nie mogli dotrzeć, książka „Pół korony i inne wyprawy” jest dostępna dla każdego w Internecie.

**Robert Widzisz**

**Fotografie: Stanisław Ociepka**

# Limanowa miasto u zbiegu trzech potoków

## – IX Spacer Historyczny po Limanowej

W niedzielę 23 czerwca 2019 roku odbył się IX Spacer Historyczny po Limanowej pod tytułem: „Limanowa miasto u zbiegu trzech potoków – korzyści i zagrożenia”. Miłośnicy historii regionu jak zwykle nie zawiedli i przybyli na kolejny spacer mimo upalnej pogody w liczbie ponad trzydziestu kilku osób. Kolejną edycję spaceru po Limanowej poprowadził Karol Wojtas.

Miasto Limanowa przed wiekami zostało założone w miejscu gdzie zbiegają się trzy potoki: Jabłoniecki, Starowiejski i Mordarka, następnie łącząc się w jeden duży o nazwie Sowlina (Sowlinka), który jest dopływem rzeki Łososina.

Potok Jabłoniecki wypływa ze zboczy Jabłońca, Starowiejski z północnych stoków Ostrej i Jeżowej Wody. Potok Mordarka ma źródła na południowych stokach Sałasza. Przez lata takie położenie Limanowej dawało różne korzyści,



Wzdłuż Potoku Jabłonieckiego biegnie ulica Starowiejska, później Marcelego Bursztyna, obecnie Józefa Marka. W tle drewniany most na Lipowe - lata czterdzieste XX wieku



IX Spacer Historyczny rozpoczął się przy tamie na Potoku Jabłonieckim



Naturale koryto Potoku Jabłonieckiego na wysokości parku miejskiego



ale stwarzało także zagrożenia. Co jakiś czas w wyniku obfitych opadów występowały powodzie, które nawiedzały nasz region, niszcząc część zabudowy miasta. Wielkie powodzie odnotowane w historii regionu, które dotknęły Limanową, miały miejsce: w 1813 r., 1934 r., czy te ostatnie z 1997 r. i 2010 roku.



Karol Wojtas opisuje zebrany teren w pobliżu LDK przy Potoku Starowiejskim



W miejscu LDK znajdowała się skocznia narciarska - lata sześćdziesiąte XX wieku

## Przebieg spaceru

IX Spacer Historyczny po Limanowej rozpoczął się pod budynkiem Starostwa Powiatowego dawniej Browaru Marsów. Tam prowadzący spacer w miejscu dawnego mostu opowiedział o płynącym pod powierzchnią placu (parkingu) Starostwa Potoku Jabłonieckiego. Przez długie lata w tym miejscu Potok Jabłoniecki stanowił naturalną granicę i oddzielał miasto Limanową od Starej Wsi. Po II wojnie światowej koryto potoku na odcinku kilkuset metrów zasklepiono. Obok biegnie ulica kiedyś nazwana Starowiejską, później Marcela Bursztyna, obecnie Józefa Marka. Następnie uczestnicy spaceru przeszli do parku miejskiego w okolicę sceny i znajdującej się za nią tamy, aby zobaczyć naturalne koryto Potoku

Jabłonieckiego. Tam miłośnicy historii naszego miasta dowiedzieli się, skąd dokładnie wypływa Potok Jabłoniecki. Potem wszyscy przeszli na most w ciągu ulicy Grunwaldzkiej, aby zobaczyć koryto Potoku Starowiejskiego oraz miejsce wylotu tunelu, którym płynie obecnie Potok Jabłoniecki. Tu uczestnicy dowiedzieli się między innymi, skąd wypływa Potok Starowiejski oraz omówiona została historia zalewu, który dawniej znajdował się powyżej tamy, na tym potoku w rejonie dzisiejszego stadionu „Limanovii” i hotelu przy ulicy Sikorskiego. Później uczestnicy spaceru przeszli przez Siwy Brzeg, oglądając Potok Starowiejski do mostu pod Limanowskim Domem Kultury, gdzie miał miejsce następny przystanek. Tam między innymi prowadzący

opowiedział o powodzi z 1813 roku oraz wpływie wylewów potoków na zabudowę miasta. Omówiona została także historia miejsca, w którym stoi Dom Kultury. Uczestników szczególnie zainteresowały dzieje limanowskiej skoczni narciarskiej. Następnie wszyscy przeszli do miejsca, gdzie Potok Starowiejski łączy się z potokiem Mordarka, tworząc potok Sowlina (Sowlinka). Tam prowadzący opowiedział o okolicy, a także mówił jak wyglądała ona dawniej, zanim pojawił się cmentarz komunalny i dzisiejszy komunikacyjny z betonowy most. Wspomniany cmentarz komunalny powstał na polach, które przez długie lata należały do rodziny Jońców. Dziś pośrodku tego cmentarza znajduje się stara kapliczka ufundowana w latach 20. XX wieku przez Agatę ▶



Powyżej: Spacerowicze nad uregulowanym potokiem Sowlinianka.  
Obok: Naturalne, kamieniste koryto potoku Sowlinianka - lata międzywojenne.



► i Wojciecha Jońców, jako wotum za szczęśliwy powrót z frontu synów: Jana i Józefa. Kapliczka ta została poświęcona przez ks. Kazimierza Łazarskiego. Wspomniano tam także powódzie, które nawiedziły Limanową w 1997 i 2010 roku oraz omówiono zniszczenia, jakich dokonała wielka woda. Potem wszyscy przeszli wzdłuż koryta potoku Mordarka pod budynek „Starej Poczty” i mostu w ciągu ulicy Jana Pawła II. Pod tym mostem wielu uczestników spaceru po raz pierwszy zwróciło uwagę na tablicę pamiątkową z 1934 roku poświęconą odbudowie tego obiektu po zniszczeniach powodziowych. Na tablicy tej znajduje się napis: „MOST TEN WYBUDOWAŁA 3. KOMPANJA 4. BAONU SAPERÓW I ODDZ. PION. 2. DYWIZJI PIECH. LEG. SIERPIEŃ, WRZESIEŃ 1934 r.” Tam także uczestnicy dowiedzieli się, skąd wypływa potok Mordarka i dlaczego ta część miasta nazywana była „Kamieńcem”. Oglądając uregulowane koryto potoku (prace regulacyjne wykonane w czasie okupacji), uczestnicy spotkania przeszli Bulwarami do mostu w ciągu ulicy Targowej. Tam prowadzący opowiedział o tej okolicy, jak wyglądała ona w przeszłości. Wspomniano również o getcie w 1942 r., którego miejscem był właśnie „Kamieniec” (był to temat I spaceru Historycznego po Limanowej). Za mostem na dawnej targowicy w latach 70. XX wieku powstał dworzec autobusowy, gdzie obecnie znajduje się stacja paliw. Omówiony został także teren, gdzie obecnie znajduje się targowisko „Mój Rynek”, a dawniej znajdował się tu plac limanowski „Sokoła” z boiskami do piłki siatkowej i tenisa ziemnego, a także kręgielnią. Na moście tym zakończył się IX Spacer Historyczny po Limanowej. Podczas ponad dwugodzinnej wędrowki uczestnicy mogli zobaczyć kilkadziesiąt archiwalnych fotografii Limanowej z drewnianymi mostami i kładkami, ale też zniszczeń, jakich dokonały powódzie z 1934 roku i z 1997 roku. Zdjęcia pochodziły z archiwum albumu „Okruchy Pamięci”. Będąc w terenie i porównując stan faktyczny z obrazami na zdjęciach dopiero wówczas można sobie uzmysłwić, jakie dokonały się zmiany w naszym mieście w ciągu kilkunastu lat. Jest to jedna z wielu wartości wynikająca z uczestniczenia w tej formie poznawania własnej małej ojczyzny.

Podczas spaceru wyjaśniono również różnice w nazewnictwie i charakterystyce oraz klasyfikacji potoków i rzek. To co wielu mieszkańców Limanowej nazywa potocznie, z przyzwyczajenia rzeką, jest tak naprawdę tylko potokiem, a najbliższą rzeką w okolicy jest dopiero Łososina.

**Fotografie: Stanisław Ociepka, arch. albumu „Okruchy pamięci”**



IX Spacer Historyczny po Limanowej zakończył się na moście przy ulicy Targowej



**Powyżej:** Regulacja potoku Mordarka na wysokości placu „Sokoła” (obecnie plac targowy). W głębi widoczna kręgielnia - lata międzywojenne.

**Poniżej:** Drewniany most na potoku Mordarka . Z prawej targowica - plac skupu zwierząt (obecnie prywatna stacja paliw). Lata sześćdziesiąte XX wieku



# Architektura i dzieje cmentarza wojennego na Jabłońcu

## – X Spacer Historyczny po Limanowej

W sobotę 6 lipca 2019 roku odbył się X Spacer Historyczny po Limanowej pod tytułem: „Architektura i dzieje cmentarza wojennego na Jabłońcu”. Kolejną edycję wydarzenia w tym sezonie poprowadził Karol Wojtas, a uczestnicy jak zwykle nie zawiedli i przybyli w letnie popołudnie na nekropolię na Jabłońcu w liczbie ponad trzydziestu osób. Spacer ten też miał wymiar szczególny, ponieważ była to już dziesiąta edycja wydarzenia, które przyciąga wielu limanowian oraz gości z bliższej i dalszej okolicy. W połowie lipca tego roku minęło także już dwa lata od pierwszego Spaceru Historycznego po Limanowej.

### Przebieg spaceru

X Spacer Historyczny rozpoczął się od przybliżenia pokrótce przez prowadzącego okoliczności wybuchu I wojny światowej oraz przebiegu operacji limanowsko – łapanowskiej i samych walk o wzgórze Jabłoniec. Potem Karol Wojtas opowiedział uczestnikom spaceru jak wyglądało porządkowanie pola bitwy i pochówek poległych tam żołnierzy. W trakcie tej części opowieści pokazano wszystkim archiwalne fotografie przedstawiające porządkowanie pola bitwy po walce oraz dokumentujące kopanie grobów i pochówek poległych tu żołnierzy. Następną częścią spaceru było przybliżenie genezy powstania

Wydziału Grobów Wojennych we Wiedniu (*Kriegsgraber Abteilung*) oraz jego terenowego odpowiednika w Krakowie, czyli *Oddziału Grobów Wojennych C. i K. Komendantury Wojskowej w Krakowie*. Uczestnicy spaceru dowiedzieli się jak wyglądała budowa 400 cmentarzy na terenie Galicji zachodniej oraz kim byli ich twórcy. Następnie prowadzący przedstawił sylwetkę projektanta jabłońskiej nekropolii Gustawa Ludwiga oraz omówił jego dzieła, czyli cmentarze wojenne na terenie Ziemi Limanowskiej, których jest w naszym powiecie 12. Potem omówiona została szczegółowo architektura kaplicy – mauzoleum i innych elementów znajdujących się na cmentarzu wojennym



nr 368 na Jabłońcu. Uczestnicy spaceru mogli także zobaczyć archiwalne fotografie tej nekropolii i innych cmentarzy wojennych z całej Limanowszczyzny. Zaprezentowane fotografie i skany archiwalnych planów cmentarzy pochodziły z zasobów Archiwum Narodowego w Krakowie z tak zwanej „Teki Brocha i Hauptmanna” oraz archiwum albumu ▶



W czasie spaceru zaprezentowano artefakty z pola bitwy na wzgórzu Jabłoniec

► „Okruchy Pamięci”. Prowadzący spacer na zakończenie tej części wyjaśnił także przybyłym uczestnikom kilka ciągle powielanych w przewodnikach turystycznych po Limanowej i Beskidzie Wyspowym nieprawdziwych informacji dotyczących architektury oraz twórcy cmentarza na Jabłońcu. Te błędne twierdzenia niektórych opisujących nekropolię jabłoniecką niestety zostały ostatnio znów powielone w katalogu nowo otwartej wystawy stałej dotyczącej bitwy limanowskiej w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej. Po obejrzeniu wszystkich elementów jabłonieckiego cmentarza część uczestników zadawała jeszcze sporo pytań dotyczących tematu galicyjskich cmentarzy wojennych i ich ochrony oraz prowadzonych remontów. Temat samej bitwy limanowskiej oraz architektury cmentarza wojennego nr 368 wielokrotnie był już opisywany na łamach Echa Limanowskiego, dlatego zagadnienia omówione podczas tej edycji spaceru opisane są w skrócie. Architekturę cmentarza opisywał dr Józef Szymon Wroński z okazji kolejnych rocznic bitwy pod Limanową. W ostatnim czasie temat cmentarzy wojennych poruszany był przez Stanisława Ociepkę w artykule „Otwarty zabytek limanowski cmentarz wojenny” w numerze 290-291 z listopada i grudnia 2018 rok. Zainteresowanych czytelników odsyłamy do archiwalnych numerów Echa Limanowskiego.

Warto dodać, że podczas spaceru uczestnicy mogli także zobaczyć i wziąć do ręki artefakty związane z bitwą limanowską udostępnione z prywatnych kolekcji przez panów Marka Rusina oraz Marka Pankiewicza.



**Powyżej:** Jubileuszowy X Spacer Historyczny po Limanowej rozpoczął się przy kaplicy Ottmára Muhra na Wzgórzu Jabłonieckim

**Poniżej:** Uczestnicy spaceru oglądają oryginalne artefakty związane z bitwą na Jabłońcu



**Obok:** Karol Wojtas, prowadzący spacer objaśnia historię powstania nekropolii na Jabłońcu

**Poniżej:** Archiwalna fotografia cmentarza z lat międzywojennych





## Dzieło budowy galicyjskich nekropolii

Obecnie na terenie powiatu limanowskiego znajduje się 12 cmentarzy wojennych z I wojny światowej. Są to cmentarze: nr 357 Kamionka Mała (Orłówka), nr 358 Laskowa, nr 359 Jaworzna (Korab), nr 360 Słupia, nr 361 Krasne-Lasocice, nr 362 Szczyrzyc, nr 363 Mszana Dolna, nr 364 Kasina Wielka, nr 365 Tymbark, nr 366 Limanowa (obecnie na cmentarzu parafialnym), nr 368 Limanowa-Jabłońiec, nr 369 Stara Wieś-Golców. W przeszłości istniał jeszcze jeden cmentarz o numerze 367 Mordarka, który znajdował się przy Kaplicy Łaski w Mordarce. Wszystkie cmentarze w powiecie limanowskim zaprojektował architekt Gustaw Ludwig (1876-1952), a powstały one w ramach prac prowadzonych przez Oddział Grobów Wojennych C. i K. Komendantury Wojskowej w Krakowie, którym kierowali major Rudolf Broch i kapitan Hans Hauptmann.

Major Broch i kapitan Hauptmann stworzyli coś, co wcześniej nie było spotykane na świecie. W latach 1915-1918 w Galicji została zrealizowana idea godnego pochowania, upamiętnienia i uczczenia poległych żołnierzy każdej z walczących ze stron bez względu na narodowość, wyznanie, warstwę społeczną i przynależność do danej jednostki wojskowej. Warto podkreślić, że cmentarze te nie były pomnikiem zwycięstwa jednej strony a klęski drugiej, lecz miejscem godnego upamiętnienia wszystkich poległych i pomnikiem humanitaryzmu w czasie okrucieństw wojny. Twórcy cmentarzy i kierownictwo oddziału grobów wojennych pragnęli, aby w miarę możliwości każdy poległy został zidentyfikowany i aby jego rodzina dostała dokładną informację, gdzie ich poległy syn, brat, czy ojciec spoczywa. Czyniono wielkie starania, aby zidentyfikować podczas

ekshumacji jak największą liczbę zabitych. Na ponad 60000 pochowanych, ponad 43000 ekshumowano z tymczasowych mogił i przeniesiono na godne miejsca spoczynku. Każdy z cmentarzy wojennych różni się pod względem architektonicznym. Wiele cmentarzy zostało zbudowanych w trudnym terenie, na eksponowanych miejscach na szczytach lub zboczach gór i wzgórz. Rozpościera się z nich piękny widok. Na wielu też zasadzono ozdobne drzewa i krzewy. Specjalnie zaprojektowano na tych cmentarzach ławki i tarasy widokowe, aby rodziny poległych przybyłe na ich groby mogły tu odpocząć w zadumie i podziwiać galicyjskie krajobrazy.

Cały teren walk toczonych w Galicji zachodniej w jesieni i zimie 1914 roku oraz na wiosnę 1915 roku podzielono na 11 okręgów cmentarnych. Podział ten wyglądał następująco: *Okręg I Żmigród – to 31 cmentarzy, Okręg II Jasło – to 31 cmentarzy, Okręg III Gorlice – to 54 cmentarze, Okręg IV Łużna – to 27 cmentarzy, Okręg V Pilzno – to 27 cmentarzy, Okręg VI Tarnów – to 62 cmentarze, Okręg VII Dąbrowa Tarnowska – to 15 cmentarzy, Okręg VIII Brzesko – to 50 cmentarzy, Okręg IX Bochnia – to 40 cmentarzy, Okręg X Limanowa – to 29 cmentarzy, Okręg Z – to 22 cmentarze (Z to tak zwany okręg Zachodni obejmował on Twierdzę Kraków i najbliższą okolicę, czasem przypisywany jest mu także numer XI).*

Major Rudolf Broch i kapitan Hans Hauptmann dysponowali sztabem doskonałych architektów, inżynierów, rzeźbiarzy, malarzy oraz licznym personelem pomocniczym. Pośród nich wymienić należy architektów: Dusana Jurkovicę, Hansa Mayrę, Franza Starkę, Gustawa Ludwiga, Gustawa Rossmanna, Roberta Motkę, Emila Ladewigę, Jana Szczepkowskiego, rzeźbiarzy: Johanna Jagera, Johanna Watzala, Franza Mazurę, Heinricha Scholza, Michaela Mastchenko Ritter von Glassner, malarzy: Alfonsa Karpińskiego, Wojciecha Kossaka, Jana

Gumowskiego, Henryka Uziembło, Josefa Langa, Ludwiga Hofbauera, Rudolfa Czerny, Oskara Stralę, Adolfa Kaspara.

Każdy z okręgów cmentarnych posiadał swojego dowódcę oraz swego kierownika artystycznego (był nim przeważnie wybitny architekt). W każdym okręgu znajduje się cmentarz reprezentacyjny, czyli główny cmentarz danego okręgu, na którym znajdowała się kaplica i miejsce do odbywania uroczystości wojskowych. W okręgu X – Limanowa takim cmentarzem jest cmentarz wojenny nr 368 na Jabłońcu. Pierwotnie do wielu cmentarzy drogę wskazywały charakterystyczne betonowe tablice drogowskazy. Niestety większość z nich się nie zachowała. Nieliczne jeszcze stoją przy drogach, ale są w znacznej części w złym stanie (czasem bezmyślnie są niszczone przez wandalów). Taki przykład drogowskazu zachował się na Starej Wsi Woli przy skrzyżowaniu, od którego odchodzi jedna z dróg do cmentarza nr 369 na Golcowie.

Te pamiątki Wielkiej Wojny na terenie obecnych województw małopolskiego i podkarpackiego rozlokowane są po górach, dolinach, polach i lasach Małopolski oraz części Podkarpacia. Pochowano na nich ponad 60000 żołnierzy z każdej z walczących ze sobą stron. Spoczywają na nich: Polacy, Czesi, Słowacy, Węgrzy, Austriacy, Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Łotysze, Estończycy, Rumuni, Włosi, Słowacy, Chorwaci, Bośniacy, Serbowie. Walczących ze sobą żołnierzy połączyły wspólne mogiły. Obecnie toczą się starania, aby Galicyjskie Cmentarze Wojenne zostały wpisane na Światową Listę Dziedzictwa UNESCO.

**Fotografie: Justyna Kastelik, arch. albumu „Okrucy pamięci”**



# Dwadzieścia lat z „Echem Limanowskim” - miscellanea

LIMANOWSKIE ŚLADY W WARSZAWIE

Andrzej Kulig

Noblista, Borys Pasternak uważał, że „historii nie można oglądać, podobnie jak nie można widzieć, jak rośnie trawa”. O historii można jednak czytać. Od czasu, do czasu uświadamiamy sobie, że dzisiaj tworzymy „historię”, która może zostać opisana jutro.

Jak to?! Zakrzyknie limanowianin. Przecież „Echo Limanowskie” powstało pod koniec lat 50. XX wieku, a regularnie ukazuje się od czerwca 1993 roku („EL” nr 1). Jednak dla mnie ta historia jest trochę krótsza. Na początku bieżącego roku zakończyłem nanoszenie uwag i autopoprawek do książki pt. *Pół korony i inne wyprawy* i przy tej okazji uświadomiłem sobie, że moja publicystyczna współpraca z Redakcją „Echa Limanowskiego” wydawanego przez Stowarzyszenie „Związek Limanowian” trwa dokładnie 20 lat. A zaczęła się latem 1999 roku. Warto przypomnieć, na ile był to rok ważny i ciekawy. Po reformie administracyjnej zaczął funkcjonować m.in. powiat limanowski, w ramach reformy oświatowej tworzone gimnazja, reformowano służbę zdrowia, postępowała prywatyzacja zakładów (sprzedany został m.in. Państwowy Ośrodek Maszynowy w Limanowej i firma Tymbark S.A.), zabiegano o realizację linii kolejowej Kraków Podłęże – Piekiełko, dla której prace studialne rozpoczęto w latach 70. ubiegłego stulecia, że o budowie zbiornika retencyjnego na rzece Łososina w Młynnem, planowanego od ponad sześćdziesięciu lat, już nie wspomnę.

Będąc na kilkudniowym wakacyjnym wypoczynku u rodziny w Limanowej sięgnąłem pierwszy raz po miesięcznik społeczno-kulturalny „Echo Limanowskie”. W lipcowo-sierpniowym numerze („EL” nr 66) zainteresowało mnie na okładce kilka fotografii podpisanych „Pielgrzym w drodze”. Z Limanowej udaliśmy się na rodzinne wojaże na Węgry i tam wieczorową porą, jako *homo scribens*, napisałem pierwszy list do Redakcji „Echa”. Wtedy oczywiście nie przypuszczałem, jakie będą konsekwencje mojego wakacyjnego pisania. Ten listowny kontakt doprowadził do powstania mojego pierwszego artykułu biograficznego z serii „Zachowane w pamięci i dokumentach...”. Poświęciłem go pracy, zainteresowaniom i życiu mojego Ojca,



Okładka wakacyjnego wydania „Echa Limanowskiego”, a na niej zdjęcia z wizyty papieża Jana Pawła II w Limanowej, w drodze do Starego Sącza 16 czerwca 1999 roku („EL” nr 66)

Stanisława („EL” nr 69). I tak, mimo rozlicznych bieżących zajęć, prac i obowiązków nawiązała się współpraca, która zaowocowała w „Echu Limanowskim” licznymi publikacjami obejmującymi m.in. artykuły biograficzne we wspomnianej już serii „Zachowane w pamięci i dokumentach...” oraz dotyczące historii – w serii „Limanowskie ślady w Warszawie”. Jakie są dalsze losy tych publikacji?

W tym roku świętujemy 15-lecie członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Dzień 1 maja 2004 roku był następstwem kilku lat wytężonej pracy m.in. na rzecz harmonizacji prawa polskiego z unijnym oraz inwestowania środków przedakcesyjnych w infrastrukturę miast i wsi w zakresie ochrony środowiska i transportu w ramach programu PHARE, ISPA i SAPARD. W ten klimat wpisał się artykuł „W drodze do Zjednoczonej Europy” („EL” nr 111-112). Dzisiaj wyraźnie widzę, że mógł on powstać tylko w wyniku moich doświadczeń związanych ze studiami w Holandii w latach 2000-2001.



„Echo Limanowskie” eksponowane na wystawie „Kuba – Ameryka Łacińska – Polska” zorganizowanej w czerwcu 2012 roku w Muzeum Politechniki Warszawskiej („EL” nr 216-217)

Bez przedakcesyjnego zbliżenia Polski edukacyjno-naukowej do „starej Europy” nie byłyby one możliwe. A czy ktoś próbował wyobrazić sobie, jak wyglądałaby dzisiaj Limanowa i jej mieszkańcy, gdyby zniknęły wszystkie efekty wykorzystanych środków unijnych, w tym na inwestycje, edukację i działalność kulturalną?

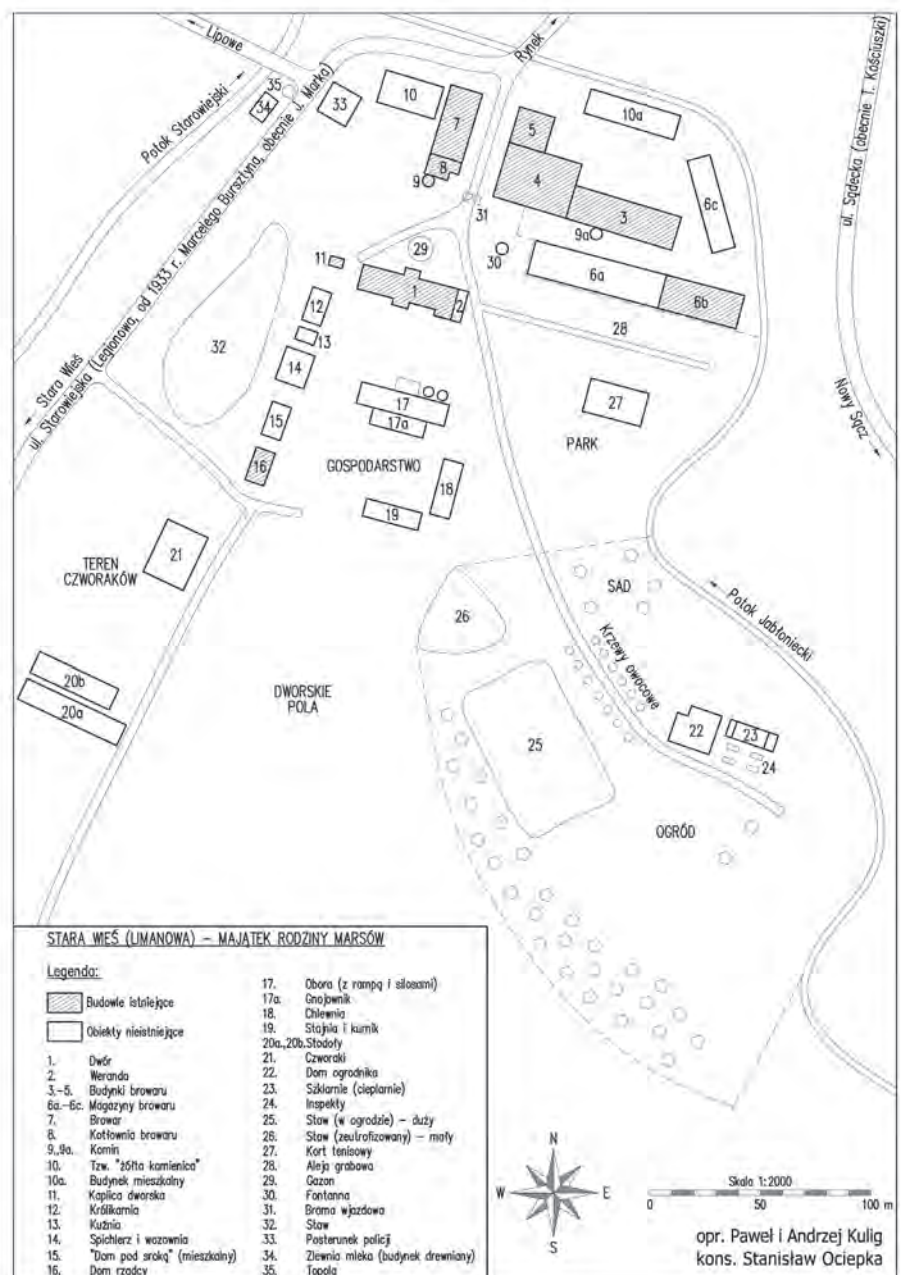
Cykl ważnych dla mnie publikacji poświęciłem zasłużonej dla Limanowej rodzinie Marsów („EL” nr 218-219). Na tym tle przedstawiona została historia, najpierw dworskiego majątku, a następnie komunalnego ogrodu położonego na lewym brzegu Potoku Jabłonieckiego, w sąsiedztwie parku miejskiego („EL” nr 220-221 i 222-223). Dzisiaj na dawnych dworskich polach stoją m.in. bloki mieszkalne oraz Kryta Pływalnia Limanowska zbudowana przy finansowym wsparciu środków unijnych. Na rewitalizację czeka wciąż teren dawnego ogrodu oraz dolina Potoku Jabłonieckiego.

Jeden z wątków tematycznych został poświęcony ludziom i zdarzeniom w nieodległych od Limanowej Marcinkowicach (artykuły z 2005 r.: St. Ociepki – „EL” nr 126 i I. Machowicz-Jurowicz – „EL” nr 127 oraz mój z przełomu lat 2007/2008 – „EL” nr 159-160). Z jednej strony bohaterem artykułów był polonista i regionalista Józef Gościej, były nauczyciel w miejscowym Zespole Szkół im. Władysława Orkana, a z drugiej Szkolne Muzeum Historyczne w Marcinkowicach, które powstawało od lat 70. ub. stulecia. W latach 2009-2010, staraniem dyrekcji szkoły i nowosądeckiego starostwa zostało ono zlikwidowane. Ostatnim akcentem w tej historii jest informacja z czerwca bieżącego roku, że w dwa lata po śmierci profesora J. Gościeja, w zabytkowym wyremontowanym dworku, tzw. Pałacu rodziny Morawskich, wyposażenie historycznych wnętrz odtwarza miejscowy ksiądz Sebastian Musiał. Do Pałacu powróciły odrestaurowane meble, które przez blisko 75 lat pozostawały na marcinkowickiej plebani. Wnętrza na I piętrze zabytkowego dworu zapełniają się pamiątkami po rodzinie Alberta Faucka, Olgi i Stanisława Morawskich oraz Sikorskich.

#### Od góry:

Doktor n.med. Krystyna Mars-Gawlikowska, prawniczka Antoniego Józefa Marsa, przeglądająca album „Okruchy pamięci – Limanowa na nowszej fotografii” (2010) podczas spotkania 31 sierpnia 2012 roku („EL” nr 228-229)

Plan zagospodarowania mieszkalnej i gospodarczej części majątku rodziny Marsów zrekonstruowany na podstawie wspomnień i informacji wielu osób: teren dworu, browaru, parku i ogrodu oraz gospodarstwa i dworskich pól („EL” nr 220-221)



Do lat 70. XX wieku historia dworska majątku w Marcinkowicach była głównie przedmiotem ustnego przekazu mieszkańców wsi. Dzisiaj białą plamę w historii dworu stanowi ponad 60 lat jego funkcjonowania w Zespole Szkół im. W. Orkana, w tym powstałego w latach 80. ubiegłego stulecia Szkolnego Muzeum Historycznego. Jego zbiory, jak do tej pory, pozostają rozproszone, a wieloletnia społeczna działalność profesora Józefa Gościeja zapomniana. Ksiądz Sebastian Musiał napisał do mnie: ... *postaram się o tablicę pamiątkową poświęconą J. Gościejowi, ... postaramy się, ocalić co się da.* A mnie pozostaje wiara w ludzi i... melodia oraz tekst z Budki Suflera - *Za horyzontem wielka korona gór... Ratujmy co się da!*

Trwają prace przygotowawcze do realizacji przedsięwzięcia nazwanego przeze mnie: kolejowe „okno na świat” („EL” nr 278-279). To chyba jednak nie jest fatamorgana. W latach 2014-2016 zostało opracowane studium wykonalności nowych linii kolejowych nr 622 Węgrzce Wielkie – Szczyrzyc – Tymbark i nr 623 Fornale – Szczyrzyc oraz modernizacji istniejącej 75-kilometrowej linii nr 104 Chabówka – Nowy Sącz. Następnie powstały raporty o oddziaływaniu inwestycji na środowisko. Obecnie w niektórych zainteresowanych gminach odbywają się spotkania informacyjne z mieszkańcami. Projektanci tworzą koncepcje programowo-przestrzenne dla 11 pododcinków, z których 5 biegnie w istniejących i 6 w nowych trasach. Po nich powinny zostać wykonane prace geodezyjne, a w przyszłym roku będą opracowywane projekty budowlane. Ruszą też wykupy gruntów, poprzedzające rozpoczęcie prac budowlanych. W pierwszej kolejności najprawdopodobniej na odcinku z Nowego Sącza do Marcinkowic, Klęczan i w kierunku Limanowej. Odcinek Chabówka – Mszana Dolna jest przygotowywany w wolniejszym tempie. Zakończenie całej inwestycji, którą realizuje przedsiębiorstwo PKP Polskie Linie Kolejowe S.A., jest planowane na 2027 rok. Szczegóły na stronie: <http://podleze-piekielko.pl/>.

W artykułach biograficznych przedstawiona została m.in. sylwetka prof. arch. Zdzisława Antoniego Mąceńskiego („EL” nr 216-217), dra inż. arch. Adama Salamona („EL” nr 234-235) i prof. Wiktora Józefa Mamaka, dziekana Wydziału Budownictwa Wodnego w Politechnice Warszawskiej („EL” nr 210-211). W tym ostatnim



Wakacyjne spotkanie w 2004 roku w gościnnych Marcinkowicach. Od lewej: Stefania Gościejowa, Józef Gościej oraz autor z córką Anną



Odrestaurowane pokoje na I piętrze byłego dworu Olgi i Stanisława Morawskich, w którym na parterze w latach 1996 - 2009 znajdowały się zbiory Szkolnego Muzeum Historycznego. Od lewej: ksiądz Sebastian Musiał, Stanisława Jawor-Leśniara – absolwentka Technikum Rachunkowości Rolnej, autor oraz Stefania Gościejowa

przypadku próbuję wyjaśnić „zagadkę” związaną z dedykacją: „*Szanownemu Panu Józefowi Mamakowi w dowód przyjaźni ofiaruje Władysław Syrokomla*” wpisana w książce Władysława Syrokomli *Wybór Poezyi część II Gawędy Ludowe* wydanej w 1913 roku, w oprawie intrologatorskiej wspólnie z opublikowaną w 1925 roku gawędą pt. *Urodzony Jan Dęboróg*.

Najobszerniejszy zbiór, składający się z 28 artykułów, dotyczy podróży. Pierwszy reportaż podróżniczy pojawił się w numerze 73 w kwietniu 2000 roku, w którym opublikowana została korespondencja: *Po Synaju i Ziemi Świętej*

– *śladami Mojżesza, Jezusa i Papieża*. Cykl reportaży pod wspólnym tytułem „*Podróże małe, podróże duże*” zaczął się ukazywać w „*Echu Limanowskim*” w 2006 roku, wtedy jeszcze miesięczniku („EL” nr 145-146). Reportaże zebrane w formie książkowej miałem przyjemność przedstawić na czerwcowym spotkaniu autorskim w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Limanowej. Do rąk uczestników tego spotkania trafił m.in. „*Dobry Tygodnik Sądecki*” (Nr 24-25) poświęcony pamiętnej wizycie Jana Pawła II w Starym Sączu, a w nim zdjęcie papieża z „EL” wykonane przed kościołem w Limanowej przez Franciszka Natanka.

Klamra dwudziestolecia z blisko pięćdziesięcioma publikacjami w „Echu Limanowskim” się zamknęła.

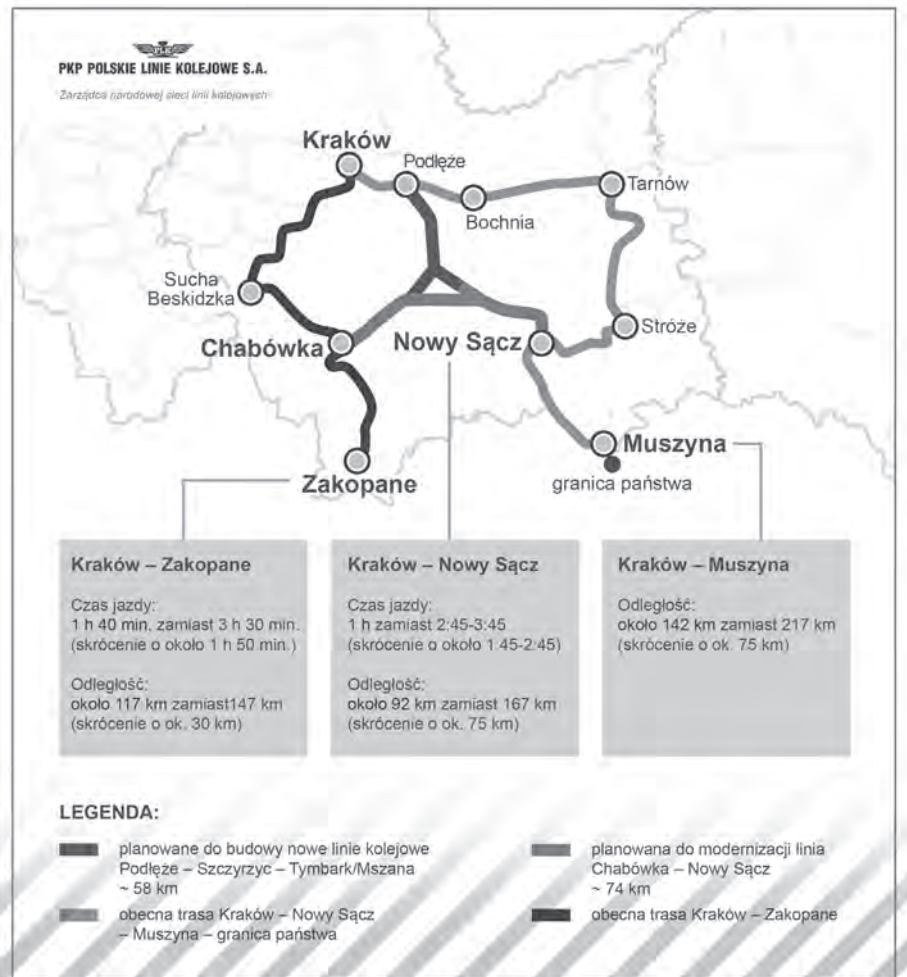
Przez lata zmieniały się moje obszary zainteresowań publicystycznych, zmieniało się też „Echo Limanowskie”. Od numeru 63 w kwietniu 1999 r. „Echo” stało się pismem Stowarzyszenia „Związek Limanowian”. Wcześniej było pismem limanowskich towarzystw regionalnych. Oczywiście, najłatwiej jest oceniać jego szatę graficzną. Ogólnie jest ona wysoko oceniana przez wielu Czytelników. Staranne opracowanie tekstów pod względem redakcyjnym i edytorskim oraz wysokiej jakości elementy grafiki, głównie dużego formatu zdjęcia, nie mogą zostać niezauważone. W tym miejscu odnotuję drobny fakt, pojawienie się w 2006 roku kolorowej wkładki w środku „Echa” („EL” nr 138). Jej pierwszym sponsorem była firma „Laskowianka”. Od tego czasu, dzięki reklamodawcom, wewnątrz wydawnictwa uatrakcyjniła kolor. Od początku 2009 roku „Echo” z miesięcznika zostało przekształcone w regularny dwumiesięcznik o zwiększonej objętości. Ale co warto podkreślić, zmianie ulega jego zawartość publicystyczna, gdzie w miejsce bieżących informacji w stałych kolumnach: „Górną i dolną, wiadomości z regionu”, czy „Wiadomości ze starostwa”, pojawiają się liczniej ponadczasowe artykuły historyczne. Niektóre zagadnienia były poruszane w cyklach tematycznych, np. „W góry, w góry miły bracie...”, „Piórkiem i obiektywem”, „Podróże-Podróże”, czy „Strony dla przedsiębiorczych” oraz w wywiadach.

Na przestrzeni lat zmieniała się też cena wydawnictwa. W czerwcu 1993 roku wynosiła ona co prawda symboliczne 4000 złotych (przed denominacją), w 1994 roku – 5000 zł, w 1999 roku – 2 zł, a od września 2000 r. 2,50 zł. Ta cena utrzymała się aż do grudnia 2017 roku i obecnie wynosi tylko 3 złote. Objętość wydawnictwa z kolei ewoluje od 24 do 68 stron, w tym 6 – 17 stron stanowią ogłoszenia reklamodawców, którzy wspierają finansowo czasopismo. Niekiedy objętość zwiększa wydawany z różnej okazji dodatek specjalny.

#### Od góry:

Projektowany w PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. układ linii kolejowych i czasy przejazdu pociągów w ramach przedsięwzięcia: budowa nowej linii Kraków Podłęże – Piekiełko i modernizacji istniejącej linii nr 104 Chabówka – Nowy Sącz („EL” nr 278-279)

Przekazanie 17 sierpnia 2013 roku, podczas Dni Limanowej, Władysławowi Biedzie – Burmistrzowi Limanowej, popielnicy wykonanej z łuski znalezionej na polu bitewnym pod Jabłońcem w 1914 roku („EL” nr 228-229)





Jedno z roboczych spotkań z Redaktorem Stanisławem Ociepką 24 sierpnia 2012 roku w nieistniejącej już kafeterii „Wenecja”, funkcjonującej w Rynku w Limanowej



Podczas spotkania autorskiego w dniu 13 czerwca 2019 roku w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Limanowej; organizatorka spotkania – Danuta Kądziołka oraz współpracujący z autorem – Dariusz Ociepka



Osoby publikujące w „Echu Limanowskim” wyróżnione tytułem i medalem „Przyjaciel miasta Limanowa”. Od lewej: Andrzej Kulig, Zofia Wiśniewska, Irena Grosicka - ówczesna przewodnicząca Rady Miasta, Józef Szymon Wroński i Stanisław Król

Pracując nad artykułami do „Echa” odbyłem wiele spotkań z Redaktorem Stanisławem Ociepką. Zawsze są to miłe spotkania, będące okazją do interesujących rozmów na limanowskie tematy. Natomiast ze składającym publikacje do druku Darkiem Ociepką prowadziłem liczne rozmowy telefoniczne, a wymienionych e-maili trudno zliczyć.

Na koniec warto wspomnieć, że w miesiącach wrzesień–październik 2019 roku ukazuje się trzechsetny numer „Echa Limanowskiego”. W dodatku jubileuszowym do numeru setnego zostało podsumowane pierwsze 10 lat funkcjonowania miesięcznika społeczno-kulturalnego. Mimo upływu kilkunastu lat w pełni podpisuję się dzisiaj pod tym, co napisałem w 2002 roku. Okazuje się, że moje życzenia następnego udanego 10-lecia spełniły się z nawiązką. Kolekcja oprawionych roczników „EL” na półce w bibliotece powiększyła się znacznie. Jedynie nie udało się znaleźć dla dwumiesięcznika mecena. Wciąż też czeka na regale wolne miejsce na album z fotografiami górskich pejzaży Ziemi Limanowskiej autorów współpracujących z „Echem Limanowskim”. Przy tej okazji twórcom i realizatorom „Echa” gratuluję sukcesu wydawniczego i życzę zapału do kontynuowania dzieła, którego zasięg oddziaływania wykracza daleko poza granice Ziemi Limanowskiej. Jednak w mojej ocenie jego rola jest nie do przecenienia właśnie w Limanowej. Na łamach „Echa Limanowskiego” przez lata dokumentowana jest historia miasta i jego mieszkańców. Dodatkowo należy też zauważyć, że niektóre publikacje tworzą tę historię dzisiaj, kreując warunki do podejmowania decyzji mających wpływ na przyszłość Limanowej. I niech tak zostanie...

**Andrzej KULIG**

Warszawa - Limanowa, lipiec 2019 r.

**Fotografie: arch.  
„Echa Limanowskiego”**

## Przejście Atlantyku z Cabo Verde na Martynikę

*Relacja z trzeciego, najdłuższego etapu zakończonego sukcesem rejsu z Portugalii na Karaiby (poprzednie części relacji pochodzącego z Limanowej żeglarza przeczytać można w „Echu” nr 284-285 i 286-287).*



Ostatnie zdjęcie przed ruszeniem w drogę

W południe 29 października 2018 r. wylądowaliśmy na lotnisku Cesarii Evory na São Vicente. Tym razem towarzyszył mi Michał Cyz, bochnianin, którego namówiłem na ten etap jeszcze w wakacje. Z Iwoną ustaliliśmy, że doleci do nas już na Karaiby. Bilet miała kupić dopiero po kilku dniach od naszego wypłynięcia, kiedy już będziemy w stanie dokładniej określić czas naszej podróży i datę dotarcia do celu.

Po wyjściu z samolotu od razu dostaliśmy w twarz falą gorąca. Potem kolejka po wizę, taksówka i, po kilkunastu minutach jazdy przez pustynię, dotarliśmy do miasta. Na miejscu przywitał nas Steven, chłopak z mariny, który podczas naszej nieobecności zajmował się łódką. Too-tiki stała tak, jak ją zostawiliśmy z Iwoną, przy kei, więc rzuciliśmy plecaki do środka i poszliśmy



Widok spod szczytu Pico Da Cruz (1585 m n.p.m) na południowo-zachodnią część wyspy. W tle widać São Vicente

załatwić formalności. Zameldowaliśmy się w kapitanacie mariny, gdzie wykupiliśmy pakiet na prąd i wodę na kei, odebraliśmy także kartę magnetyczną do bramki i do łazienki.

Następnego dnia z mozołem zaczęliśmy pracę. Z nieba lał się żar, w ciągu dnia trudno było wytrzymać na łódce. Na czas postoju założyliśmy na bom plandekę, która dawała cień i chroniła nas przed niechybnym udarem.

W przeciągu tygodnia przygotowaliśmy łódkę do dalszej podróży. Założyliśmy żagle, sprawdziliśmy liny i bloczki, nałożyliśmy olej na drewniane fragmenty pokładu. Naprawiliśmy samoster wiatrowy i zamontowaliśmy dodatkowo elektryczny. Po ogarnięciu pokładu zabraliśmy się za mozolne sprzątanie w środku. Przemyliśmy całe wnętrze octem, który jest cudownym specyfikiem, chroniącym nasz komfort przed grzybami i wszelkiej maści robactwem. Co prawda w pewnej chwili mignął nam jakiś małeńki cień, ale ponieważ nie pojawił się więcej, to stwierdziliśmy, że po „octowaniu” pewnie wystawił swoje małeńkie walizeczki na pomost i się wyprowadził.

Wieczorami chodziliśmy do tawerny w marinie na piwo i internety. Klimat był

niepowtarzalny, schodzili się tu żeglarze i obsługa mariny, niemal każdy z bagażem dobrych rad, historyjek i plotek. Zdarzały się jakieś miniafery: a to jakaś Angielka uciekła z jachtu Nowozelandczyka, twierdząc, że jest on szalony, bo chce kontynuować rejs z jedną papierową mapą i jednym kompasem. Innym razem ktoś wyrzucił z jachtu dwójkę jachtostopowiczów, zabierając im przy tym paszporty. Zasłyszonymi tu opowieściami można by zawstydzić niejednego gawędziarza. Byliśmy w tej tawernie na tyle częstymi klientami, że pewnego wieczoru obsługa postawiła nam darmowe piwo. Zawarliśmy kilka żeglarskich znajomości. Od grupy niemieckich żeglarzy dostaliśmy trzy plecaki jedzenia, kilka butelek oranżady i butelkę ginu. Jedzenia było tyle, że nasze zakupy prowiantu na rejs ograniczyły się do kilku przekąsek, słodyczy i wody. Bardzo nam to odpowiadało, ponieważ ceny w sklepach i marketach były dość wysokie. Załoga jachtu Lolita zaprosiła nas z kolei na wykwintną kolację, którą przygotowała znajdująca się na pokładzie zawodowa kucharka. Od niej to uzyskaliśmy przepis na suszoną na słońcu rybę w oleju. Spotkaliśmy też rodaków ze Śląska i Galicji, którzy płynęli drewnianym jachtem do Panamy. ►



Sympatyczni Czeši na jachcie Rogi2 podpłynęli z pomocą... wzięli nas za rozbitków. Spotkaliśmy ich potem na Martynice i piliśmy wspólnie piwo

► Z nimi z kolei mieliśmy wieczorek ze śpiewem i degustacją domowego destylatu okraszonego cytrynami.

Po ogarnięciu łódki postanowiliśmy udać się na sąsiednią wyspę, Santo Antão i zdobyć Pico da Cruz (1585 m n.p.m.), jeden z jej głównych szczytów. Prom odpływał z doku oddalonego ledwie 10 minut spacerkiem od mariny i kosztował 80 zł w jedną stronę.

Santo Antão jest wyspą dużo większą niż São Vicente. Północna część jest zielona i ma dostęp do wody. Niemniej w wioskach rozsianych na wybrzeżu mieszkańcy starają się ją oszczędzać, o czym świadczą ulotki w niektórych miejscach.

Sieć drogowa na Santo Antão nie jest zbyt rozbudowana. Główna szosa, w połowie asfaltowa, a w połowie brukowana, ciągnie się wzdłuż północnego wybrzeża, od Porto Novo do Ponta Del Sol. Mniejsze, brukowane drogi, prowadzą przez przełęcze do kilku wiosek w interiorze.

Po zejściu z promu zostaliśmy zagonieni przez łapaczy do busa, którym dojechaliśmy na miejsce. Wysiedliśmy w wiosce Paul i ruszyliśmy wzdłuż strumienia w górę doliny. Najpierw szliśmy wiejską drogą, która kończyła się tuż za ostatnią chałupą i weszliśmy na ścieżkę. Wilgotność sięgała chyba miliona procent i już po pięciu minutach ciekło z nas jak z niewyciśniętych mopów. Ponieważ wychodziliśmy od strony północno-wschodniej, nawietrznej, dolina wypchana była chmurą, która

nie miała dość wigoru, żeby przewalić się przez grzbiet wulkanu na drugą stronę. Stąd też, podobnie jak na Wyspach Kanaryjskich, zielen utrzymuje się tylko na północno-wschodnich częściach wyspy, podczas gdy południowe rubieże są zazwyczaj wypaloną na wiór pustynią.

Niemal wszystkie ścieżki w górach są brukowane i służą do transportu do wyżej położonych siół i osad, do których można się dostać tylko pieszo lub na osła. Pierwszego dnia z mozołem wdrapywaliśmy się na górę. Ścieżka kluczyła między bananowcami, domkami, poletkami trzciny cukrowej, gajami mango itd. Od czasu do czasu mijaliśmy grupki wracających ze szkoły malców w mundurkach. W pewnym momencie minęliśmy taką szkołkę bez okien, z której dochodziły gromkie okrzyki nauczycielki zagzewajające uczniów do wytężonej pracy. Z pewnością pyszne widoki były przyczyną tego, że w pewnym momencie skręciliśmy w złą ścieżkę. Jak na złość znów weszliśmy w chmurę, więc trudno było się nam zorientować, gdzie dokładnie jesteśmy. Dotarliśmy do maleńkiego sióła, raptem trzy domki, przylepionego do grani. Na ścianie jednego z nich ktoś pewną ręką wysmarował napis „Cafe Bar”. Miła pani zgarnęła nas ze ścieżki na niewielki tarasik, gdzie spożyliśmy skromny posiłek składający się z kawy i bananów. Zachwyceni miejscem zaszaleliśmy i kupiliśmy kilogram mielonej, lokalnej kawy w plastikowym worku i cztery słoiczki dżemu z gujawy (wszystko z ogródka właścicielki kawiarni).

Byliśmy już niedaleko grani, kiedy zaczęło zmierzchać. Tymczasem, jak na złość, nigdzie nie było nawet skrawka płaskiej ziemi. W końcu, zmęczeni znaleźliśmy w miarę równy kawałek pod drzewkiem mango. Jako wytrawni podróżnicy oczywiście zapomnieliśmy o tak prozaicznej rzeczy jak namiot (został zwinięty na łódce). Jak na złość, chmura, w której brodziliśmy cały dzień, postanowiła zakończyć swój żywot. Zasnęliśmy w lepkiej, cieplej wilgoci.

Rankiem obudziło nas pełne słońce. Po dwóch godzinach wspinaczki doszliśmy do grani wulkanu.

Na gorze było rześko. Mangowce, papaje i palmy zostały zastąpione przez sosny i akacje, rosły tu nawet grzyby (podgrzybki, o ile się nie mylę, ale stare i brzydkie). Przed nami ukazał się krater, na którego dnie rozpościerały się poletka kapusty. Tu i tam widać było kilka kamiennych domków. Obeszliśmy krater i drogą, która szła główną granią, dotarliśmy na szczyt. Schodząc zgubiliśmy się w chmurze. Błądząc i starając się coś zobaczyć we mgle trafiliśmy w lesie na niewielki kamienny domek, przy którym bawiła się kilkuletnia dziewczynka w czerwonej bluzie. W pobliżu biegał bosy i śmiał się dziko jej starszy, niepełnosprawny brat. Chłopak był ubrany w pastelowozielony dres. Dziewczynka początkowo nie mogła zrozumieć o co chodzi dwóm starym, brodatym białasom, którzy wyszli z lasu. W akcie desperacji wyciągnęliśmy mapę i głośno dukając nazwę wioski. „Janela” pokazywaliśmy brudnymi paluchami miejsce na mapie, do którego chcieliśmy zejść. Usłyszawszy nazwę wioski machnęła na nas ręką i, cały czas mając oko na brata, wyprowadziła z lasu na rozstaje. Tam wskazała palcem dwie ścieżki powtarzając przy tym „aqui, aqui”. Pięknie podziękowaliśmy, wciśniliśmy jej kilka escudos na czekoladę. Wybraliśmy ścieżkę po prawej.

Zbliżał się zmierzch, kiedy znów zaczęliśmy szukać kawałka płaskiej ziemi, żeby ułożyć się do snu. Znaleźliśmy idealne miejsce w niewielkim gajku bananowców. Zaraz też pojawił się znikąd góral w plastikowych klapkach i z wiązką trawy na plecach. Zaczął nam coś tłumaczyć na migi, wskazując to na bananowce, to na ścianę. Nie odpuścił, dopóki nie zabraliśmy się z nim i nie wskazał nam miejsca sto metrów dalej, na zakręcie ścieżki. Poczęstowaliśmy go papierosem. Trochę źli ułożyliśmy się na obs...



zanieczyszczonym przez osły klepisku. Zanim zasnęliśmy usłyszeliśmy łoskot kamieni i odłamków skał spadających w miejscu, w którym pierwotnie zamierzaliśmy nocować ... Rankiem bez przygód zeszliśmy do Janeli i złapaliśmy busa do Porto Novo.

W Mindelo zabawiliśmy jeszcze kilka dni. Nad wyspami przewalał się front i wiało zbyt mocno, jak dla nas, oczywiście. Mogliśmy sobie pozwolić na kilka dni zwłoki, ponieważ miejsce w marini mieliśmy wykupione do 15 listopada. Tego dnia mieliśmy się bezwzględnie wynieść, ponieważ cała marina była zarezerwowana dla uczestników zbliżających się regat ARC – wielkiego wyścigu turystycznych jachtów z Europy na Karaiby. Czekając na poprawę pogody uzupełniliśmy nasze zapasy i przytargaliśmy na łódkę około ćwierć tony wody w butelkach pięciolitrowych.

14 listopada 2018 r. wiatr osłabł i tego dnia, nieco po 10.00 ruszyliśmy. Komitet pożegnalny składał się z Stevena, chłopaków z Lolity i dwóch starszych dżentelmenów – sąsiadów. Od tych ostatnich też dostaliśmy tuż przed startem butelkę portugalskiego wina, które mieliśmy wypić po dotarciu „na drugą stronę”. Wiała lekka bryza od brzegu i postawiliśmy dwa przednie żagle. Te dwa żagielki, o łącznej powierzchni 7 m<sup>2</sup>, zrzucimy dopiero na Karaibach. Warunki były idealne; na wschodzie, gdzieś nad Afryką kotłowały się chmury, ale przed dziobem kryształ i zachodzące słońce. Od wschodu minął nas jacht, chyba Lolita, która miała wypłynąć dwie godziny po nas. Trzymaliśmy kurs na S-W, starając się odejść od wysp jak najdalej nim obierzemy kurs na West, na Karaiby.

Po kilku dniach objawy choroby morskiej całkowicie ustąpiły i zaczęliśmy przyzwyczajać się do pokładowej rutyny. Trzy godziny za sterem, trzy leżenia pod pokładem, celem nadrobienia snu. Misiek się uparł i od razu objął całą załogę. Wielkodusznie nie protestowałem. Odtąd wytrwale, dzień w dzień, około godziny 15-16, z namaszczeniem wpełzał pod pokład i warzył dla nas strawę. Obiady składały się zazwyczaj z makaronu lub soczewicy, zawsze cebuli i czosnku oraz, ewentualnie, jakiegoś wkładu, zazwyczaj tuńczyka w puszcze. Do dziś nie mogę już patrzeć na makaron z tuńczykiem. Na śniadanie i kolacje zapychaliśmy się sucharami z masłem orzechowym lub lokalnymi



Pierwsza ryba Miśka i ostatni Misiek ryby. Filetowanie jej było trudne ze względu na niesamowicie twardą skórę

pierniczkami z Mindelo (dopóki się nie zazieleniły). Wszystko to popijaliśmy wodą lub kawą z mlekiem w proszku.

Po pierwszym tygodniu rejsu na zachód od Cabo Verde wpłynęliśmy w bezwietrzną dziurę. Co za pech, w pasatach, gdzie wieją stałe wiatry, my trafiamy na flautę ... Nasza prędkość spadła z 3-4 węzłów do 0,5. Te pół węzła to prąd, który zawsze, niezależnie od wiatrów, z mozołem ciągnie na zachód. Na początku byliśmy rozczarowani, ale potem podeszliśmy do tego jak do beztrudnego, przedłużonego weekendu. Dni spędzaliśmy w kokpicie na czytaniu książek. Misiek z bosaka i drutu zmajstrował harpun, którym próbował łowić rybki, z upodobaniem pływające sobie wokół łódki. Noce przesypialiśmy, co jakiś czas budząc się i sprawdzając kurs. Potem dostaliśmy ostrzeżenie: gdzieś na północy, między Azorami a Islandią, trwa ogromny sztorm. Prognozy przewidują, że martwa fala dojdzie do nas za kilka dni. Duża fala przy braku wiatru jest nieprzyjemna, więc spodziewaliśmy się jazdy po kartoflisku i dużych strat wśród porcelanowej zastawy. Czekaliśmy w napięciu i wreszcie... pojawiła się. Owszem, potężna, co najmniej pięciometrowa, ale też łagodnie rozciągnięta na setki metrów. Wyglądało to tak, jakby ogromne płótno falowało. Najedliśmy się tylko strachu.

Piątego dnia wiatr wrócił i przyspieszyliśmy. Pasat jakby przypomniał sobie

o zaległościach i teraz nadrabiał mocą. Wiatr był porywisty – zwłaszcza nad ranem tężał mocno, potem nagle gasł zostawiając po sobie 3-4 metrową falę. O czytaniu książek na zewnątrz mogliśmy chwilowo zapomnieć, ale za to nasze dobowe przebiegi wzrosły z 30 mil do 80-90.

Wypadki zdarzają się i nie sposób ich przewidzieć. Nam zdarzył się taki, o którym nigdy wcześniej od nikogo nie słyszałem. Pewnego dnia, po tradycyjnym makaronie z tuńczykiem, kuk płukał miski za burtą. Siedziałem za sterem i odpalałem poobiedniego papierosa, kiedy Misiek wrzasnął i rzucił miskę pod nogi. Trzymał się za rękę i mówił, że coś go oparzyło. Na półpokładzie leżała mokra witka, przypominająca nieco granatową włóczkę o długości około 10 cm... Zmroziło mnie. Taką witkę widziałem raz na plaży, a jej prawowitym właścicielem jest bardzo toksyczny żeglarz portugalski. Tymczasem Misiek zwił się z bólu. Stracił ostrość widzenia, spuchła mu pacha, a kości dłoni, wedle jego słów, paliły żywym ogniem. W apteczce mieliśmy opatrunki, kremy na oparzenia, zestawy do szycia ran ciętych, leki na zatrucia i antybiotyki, ale nie mieliśmy nic na ukąszenia – węży i skorpionów nikt się nie spodziewał, a meduzy występują tylko w klechdach. Za pomocą satelitarne go komunikatora wysłałem szybko sms z prośbą o radę do znajomych żeglarzy. ►

► Pierwsza odpowiedź brzmiała: nadajcie sygnał ratunkowy MAYDAY! Tu był mały problem, bo o ile pomoc z innych jachtów mogłaby przyjść w ciągu dnia, to nie było gwarancji, że na ich pokładzie będzie lekarz z niezbędną apteczką. Byliśmy też za daleko dla helikopterów służb ratowniczych. Zresztą w Mindelo mają tylko stary kuter ratowniczy, którego musiał ratować ostatnio jakiś jacht, bo się w nim silnik zepsuł ... Kolejne sms-y, od innej osoby, były bardziej stonowane. Najpierw przyszła wiadomość, żeby nasikać na ranę. Drugi sms korygował pierwszy, informując, że lepiej przemyć słoną wodą. Trzeci poprawiał oba, że tylko słodka woda. Pacjent przeszedł kurację wszystkimi sposobami. Na końcu przyszła wiadomość od lekarza pokładowego dużego polskiego żaglowca, że nie trzeba nic robić, ma boleć, ale samo przejdzie. Ostatecznie po godzinie Misiek stwierdził, że ból słabnie i oczy mu już nie łzawią. Odpoczywał do wieczora, a następnego dnia było już po wszystkim, chociaż czuł jeszcze rękę przez kilka dni.

W drugim tygodniu przypomnieliśmy sobie o rybach. Mieliśmy przygotowane wcześniej dwa zestawy, złożone z haczyka z przynętą, grubej na 2 mm żyłki i kawałka deski, na którą nawijaliśmy żyłkę. Rozpoczęliśmy łowy i... zaczęliśmy wyławiać „seagrassy”. Wokół nas zaczęły się pojawiać ogromne łachy pływającego, żółtego zielska. Zdarzało nam się przepływać przez takie „trawniki” mające po kilkadziesiąt metrów kwadratowych. Było to dość przyjemne dla ucha; ocierające się o kadłub wodorosty wydawały łagodny, chroboczący dźwięk. Znacznie później dowiedzieliśmy się, że w tym roku wodorosty zakwitły wcześniej i było ich bardzo dużo. Ostatecznie Miśkowi udało się złowić trzy i pół ryby (druga połowa została pożarta przez coś jeszcze w wodzie). Zjedliśmy je z patelni lub w formie sushi, w obu przypadkach były przepyszne.

Tymczasem zaczęły doganiać nas jachty z ARC. Nie było dnia, żeby gdzieś na horyzoncie nie pojawił się biały żagielek lub światełka pozycyjne w nocy. Niektórzy podpływali bliżej, biorąc nas za rozbitków. Pewnej nocy podsłuchaliśmy przez radio rozmowę dwóch jachtów, których kapitanowie, z nonszalancją godną synów Albionu, komentowali naszą łupinkę i jej krótki maszt, oskarżając nas przy tym o bycie Francuzami. Raz



Martynika. Po miesiącu żeglugi dobrze poczuć grunt pod twarzą

wywołali nas przez radio Polacy, z którymi ucieliśmy sobie grzecznościową pogawędkę.

Dni mijały jeden za drugim. Podobno Atlantyckie, w porównaniu do Pacyfiku, jest przyrodniczą pustynią, niemniej kilka razy nas zaskoczył. Największe wrażeń nie robiły na nas wyskakujące na kilka metrów tuńczyki. Co najmniej metrowe okazy potrafiły przelecieć tuż za rufą. Niestety te potwory były na tyle szybkie, że nigdy nie udało nam się zdążyć z aparatem. Mniejszym kalibrem były latające ryby, które stały się codziennym widokiem. W Mindelo na targu można było kupić okazy niemal trzydziestocentymetrowe, nam jednak trafiała się drobniaczka. Niemniej gwałtowny kontakt dziesięciocentymetrowej rybki z twarzą sternika, w środku ciemnej nocy, może nawet największego twardziela zmusić do wyprania bielizny. Co jakiś czas krążyły wokół nas burzyki i nawałniki, które pod względem zdolności do szybowania między falami dorównują mitycznym albatrosom. Raz, a było to gdzieś w drugim tygodniu, minęła nas jakaś duża ćma (zawisak), która z uporem starała się dolecieć do Afryki. Innego dnia, tuż przy burcie, pokazały się dwa duże, czarne cielska o oklapłych płetwach grzbietowych... czyżby jakieś małe orki? Potem, już bliżej Ameryki, na niebie zaczęły się pojawiać faetony i fregaty. Zdarzył się też pewien głuptak, który z uporem maniaka przez kilkanaście minut starał się usiąść na czubku masztu.

Pierwszym zwiastunem Nowego Świata był frachtowiec, który niemal nas przejechał na trawersie Barbadosu.

Byliśmy prawie „w domu”, ponieważ ta niewielka, wapienna wyspa leży samotnie ledwie kilka dni żeglugi na wschód od głównego archipelagu wulkanicznych Małych Antyli, będących naszym celem.

30. dnia żeglugi, o 3.00 w nocy, na horyzoncie pojawiły się światła. Łąd, widać łąd! Odechciało się nam spać, siedzieliśmy we dwójkę w kokpicie i wyobrażaliśmy sobie co dobrego zjemy po dotarciu do brzegu. Wiatr zaczął tężeć i pojawiły się chmury. Minęliśmy południowy cypel Martyniki i skierowaliśmy dziób na północ, na zatokę, w której jest marina i kotwicowisko. Wiatr tymczasem zaczął wiać z północnego wschodu. Kurs był już zbyt pod wiatr, więc zrzuciliśmy żagiel i odpaliliśmy silnik. Odpalił niechętnie. Misiek monitorował kurs i prędkość na urządzeniu GPS. Po piętnastu minutach załamał się i oświadczył, że niemal stoimy w miejscu. Cholera, pewnie odpływ, prądy i co tam jeszcze ... Postawiliśmy znów żagiel i wspomagając się silnikiem mogliśmy powoli ruszyć do przodu. Świtało, kiedy wpłynęliśmy do zatoki. Płynęliśmy teraz szlakiem między bojkami. Zatoka, mimo że szeroka, jest miejscami bardzo płytka, łatwo wylądować na mieliźnie. Podobnie jak pół roku wcześniej najpierw spotkaliśmy rybaków. Podpłynęliśmy do mariny i zaczęli wywoływać kapitanat.

Nie mogąc doczekać się konkretnej odpowiedzi wpłynęliśmy „na bezczela” do mariny i zacumowaliśmy w pierwszym wolnym miejscu. Dotarliśmy do Ameryki.

**Fotografie: Filip Sułkowski, Michał Cyz**

# Nie widziałaś księdza z krową?

Zbigniew Sułkowski

## Na wspomnienie wielebnego Zdzisia Sąsiadka

Załączone zdjęcie zrobione przez Zenka Duchnika rzeczywiście ukazuje księdza prowadzącego na łańcuchu chudawą krowę, sam kapłan też nie za bogato wygląda; obrazek jakby z XVII – wiecznej krotchwilii scenicznej „Wyprawa plebańska”, ale rzecz współczesna, w trzecim już tysiącleciu zagrana. Zagrana trochę pewnie dla jakichś gości zaprzyjaźnionych. Że ekscentrycznych? – Co tam! Tylko założę sutannę, żeby nie było wątpliwości!

A ów cały spektakl trochę z osobistego poczucia humoru i dystansu wobec siebie, a bardziej by komuś zrobić małą przyjemność. Bo jak twierdził „Szaman Morski” – Eustazy Borkowski – pierwszy kapitan „Batorego”, to co daje nam szczęście, nie jest fikcją. Cały ksiądz Zdzisław Sąsiadek.

I jeszcze miejsce akcji – Bukowiec na Pogórze Wielicko – Ciężkowickim. Ta sama nazwa obejmuje wieś i wzgórze (503 m n.p.m.) z dużym skupiskiem piaskowcowych ostańców – Diablich Skał, nie tak powszechnie znanych jak ciężkowickie Skamieniałe Miasto, ale też okazałych i interesujących. A na samym niemal szczycie drewniana świątynia o ciekawym rodowodzie.



Jak powinniśmy pamiętać w latach 1946 – 47 nastąpiło przymusowe wysiedlenie wsi narodowości łemkowskiej z Beskidu Niskiego. Proceder objął też Kamianną sławną dziś jako ośrodek pszczelarstwa (Światowe Centrum Apiterapii). Łemkowie, należący do Kościoła Wschodniego wznosili prawosławie lub greckokatolicyzm, dla każdego z tych obrządków wznosili osobne cerkwie, w razie potrzeby również w jednej miejscowości. Tak było i w Kamiannej. Po usunięciu

rdzennej ludności we wsi zamieszkało jedynie kilkunastu katolików, więc administracja katolicka, której przekazano połemkowskie świątynie, jedną z nich – XIX – wieczną cerkiew św. Paraksewy – przeniosła w 1949 r. na Bukowiec jako kościół pod wezwaniem Niepokalanego Serca NMP.

Ksiądz Zdzisław Sąsiadek probostwo objął tu w 1970 r.

Urodził się w Zawadzie k. Dębicy w 1935 roku, ale posługę duszpasterską rozpoczął w 1958 r. na Limanowszczyźnie, najpierw w Łososinie Górnej, a od 1961 r. w Skrzydlnej. Potem był wikariat w Łabowej, gdzie Zdzisław – ksiądz katolicki przecież – zaprzyjaźnił się z nie licznymi miejscowymi Łemkami, którzy jakimś cudem pozostali na ojcowiznie mimo przymusowych wysiedleń z lat czterdziestych. Darzyli go zaufaniem, nawet nagrywał na magnetofon ich pieśni i opowieści. A warto przypomnieć, że w latach 60-tych stosunek do Łemków i ze strony władzy, i przeważającej części polskiej społeczności był jednoznacznie negatywny.

Potem była duszpasterska placówka gdzieś tam jeszcze i wreszcie stabilizacja – w miejscu dość osobliwym. Bo Bukowiec to chyba jedyna w Polsce parafia, ►





► w której kościół jest geograficznie usytuowany najwyżej z wszystkich budynków, do tego „w pięknych okolicznościach przyrody” nazwanych jednak Diablami Skalami, na domiar wieżę i strych domu bożego zamieszkuje kolonia niezwykle rzadkiego podkowca małego, a wg demonologii ludowej wszystkie nietoperze to szwagry diabła.

Gdy na początku tego tysiąclecia poznałem za pośrednictwem kolegi Zenka Duchnika księdza Zdzisława była tam nieopodal kościoła stara i skromna plebania i niewielkie gospodarstwo, a więc i obora. Już patrzy na księżą oborę – mówiono dawniej o kimś i nie znaczyło to nic dobrego. A tu uśmiechnięty do całego świata ksiądz w wytartej sutannie sam obrządzający wspomnianą krówkę i głośno informujący gospodynię, że brzuch mu niedomaga i nie będzie dziś jadł – bo właśnie Zbyszek i Zenek przyjechali. Zupełnie nie w porę w obiad.

A krówka to rzeczywista żywicielka, bo „chuda fara”; parafia obejmuje dwie i pół wsi, ale dusz jedynie kilkaset, ten obszar Pogórza wyludnia się w szybkim tempie. – Już trzeci rok nie urządzam Pierwszej Komunii – mówi proboszcz. Za to warto dodać, że na terenie parafii leży słynny dominikański młodzieżowy ośrodek duszpasterski w Jamnej – Republika św. Jacka. Gdy zechce się młodym zawrzeć w Jamnej ślub, czynności urzędowych należy dopełnić na Bukowcu. Zdzisław tak usprawnił procedury, że wszystko załatwiał się podczas jednej tylko wizyty. Bo dlaczego nie być dobrym, gdy można?

Moją bliską koleżankę ze studiów dotknął dramat w rodzinie. Z płaczem

mnie poinformowała; cóż ja niegodny i grzeszny poradzę? Ale mówię – znam pewnego dziwnego pozytywnie księdza, który duchowo, a może i więcej, wielu pomógł, poproszę – akurat wybieraliśmy się na Bukowiec. Wskutek naszej z Zenkiem, ale i innych zachęty, coraz więcej limanowian tam trafiało. Mam szereg zdjęć to potwierdzających i tylko z powodu RODO itp. nie przedstawię listy. Każdego po przybyciu urzekał krajobraz, różnorodność skał, a ambitniejszych jaskinia, jedna z większych w Beskidach. Oraz życzliwy gościom ksiądz, którego plebania była o wiele, wiele mniejsza od kościoła, a stojący przed nią fiacik 126p budził sensację – Proboszcz, który w XXI wieku jeździ maluchem!!!

No więc po przybyciu z kimś tam na Bukowiec przedstawiłem Zdzisiowi w imieniu koleżanki prośbę o pomoc, zaznaczając, że nie znam szczegółów, ale chodzi o ciężką chorobę.

Nie szkodzi – odpowiedział – odprawimy mszę intentio dantis (chodzi o nabożeństwo, którego intencję zna tylko bezpośrednio zainteresowany).

Pomogło? ...? W każdym razie „zainteresowana” niedługo potem zechciała osobiście podziękować ks. Zdzisławowi. To był widok, gdy po niedzielnej mszy na środku pełnego kościoła pani dyrektor jednego z krakowskich liceów jak stara babina obcałowywała ręce proboszcza broniącego się argumentem, że w zamian będzie musiał wycalować jej dłonie.

Ksiądz całujący w rękę kobietę?! Hm ...

Zamiast pola do wyobraźni dwa do rzeczy przyczynki – autentyczne, choć anegdotyczne.

Za którejsz naszej bytności Zdzisław zaproponował spacer do skałek, o których mało kto wie, a jest przy nich źródło z taką dobrą wodą! Zabraliśmy więc plebańskiego pieska, ksiądz jeszcze torbę jakichś darów bożych i poszliśmy. Była jesień i źródleko zasypały zeschnięte liście. Zenek ofiarnie gołymi rękami oczyścił zdrój i usłyszał od księdza – Wytrzymaj sobie ręce o moje spodnie, bo i tak idą do prania!

Kiedyś indziej, widząc, że na Bukowcu chudziźna coraz głębsza, chcieliśmy księdzu złożyć jakieś „co łaska”. Wystawił oczy – Jak? Za co? Dlaczego?

– Bo bieda Zdzisiu u ciebie! – bez ogródek wyłożył Zenek – I chcielibyśmy się z tobą podzielić.

– Co ty opowiadasz! Czyś ty widział w Polsce biednego księdza?





No i jak Zdzisława za takie rezolucje nie lubić?

Gdy nad głowy płynię z przewyższenia przekaz, że cnota ubóstwa bardziej dotyczy sfery duchowej niż gromadzonej substancji, to myślę właśnie o duchowym bogactwie naszego przyjaciela, obejmującym także sferę wiedzy i umiejętności. Perfekcyjnie znał łacinę, ale to wśród duchownych jego pokolenia jeszcze nie ewenement, ale antyczna greka, pośród której poruszał się dość swobodnie? A z drugiej

strony ... był jednym z pierwszych proboszczów w diecezji, którzy opanowali pracę na komputerze. I praktycznie to wykorzystywał.

Miał wielu znajomych, wśród nich Zbigniewa Preissnera, który zbudował na terenie parafii dom.

Spytałem raz przekornie ks. Jana Bukowca czy był kiedy na Bukowcu.

No przecież ... Jakże mógłbym Zdzisia nie odwiedzić? – usłyszałem. Byli więc w koleżeńskej zażyłości.

Tymczasem lata płynęły, zbliżała się siedemdziesiątka i absolutna konieczność przejścia księdza na emeryturę. Miało do tego dojść w sierpniu 2005 roku. Zdzisław po cichu liczył, że kuria termin przedłuży i jakieś podstawy nadziei na to były... Na początku sierpnia tego roku limanowskie PTTK zorganizowało wycieczkę autobusową na Pogórze. Udało mi się tak pokierować trasą, by zahaczyć o Bukowiec. Wielka to była przyjemność dla Zdzisława – oprowadził, objaśnił, dodatkowo rozwinął temat zasiedlenia południa Małopolski, posiłkując się między innymi „Liber beneficiorum” Długosza, którego odpowiednie fragmenty z pamięci cytował, tłumacząc na bieżąco na polski. Przy sposobności, pamiętam, odniósł się do etymologii nazwy Rupniów z interesującą interpretacją

– od łac. rupi. ruptum (pękać, rozłamać, rozsadzić) co odnosiłoby się do rozpoznawalnego do dzisiaj wielkiego oberwiska na sąsiadującej Kostrzy.

Ta zbiorowa limanowska wizyta zyskała na ważności u księdza Zdzisława Sąsiadka (zachował ją w pamięci) bo niecałe dwa tygodnie później – 20 sierpnia 2005 r. zakończył jednak swą misję na Bukowcu. Jako rezydent znalazł się w parafii w Krzeczowie przy Bochni. Mieszkanie w porównaniu z poprzednim miał komfortowe, ale ... Niemniej nie opuściła go wrodzona energia i dla krzeczowskiego proboszcza był bardziej pomocnikiem niż kłopotem.

Odwiedzaliśmy się wzajemnie z rzadka, Zenek częściej.

*Świat światełko, śmierć miotełką*

*Wraz wymiecie twe rupiecie...*

Zacytowałem ks. Józefa Bakę, przez niektórych uważanego za najtężniejszego grafomana baroku, ale Zdzisław lubił takie proste wierszyki pisane w skoczonym rytmie. Więc mu we fragmentach takie z życzeniami podsyłałem.

To tyle byłoby o Zdzisławie, który umiał być księdzem, umiał być człowiekiem i umiał być przyjacielem.

**Fotografie: Zenon Duchnik, Zbigniew Sułkowski, Bartłomiej Sułkowski**



Fritz Todt, inżynier niemiecki stworzył paramilitarną Organizację Todt „OT” w uproszczeniu czasem pisana „TOD” (z j. niem. *Organisation Todt*), która w latach 1938-1945 zajmowała się głównie budownictwem obiektów wojskowych. Organizacja ta dysponowała własnymi obozami pracy, w których siłą roboczą byli robotnicy pracy przymusowej, jeńcy wojenni, jak i więźniowie obozów koncentracyjnych.

Mało kto wie, że taki niemiecki obóz pracy powstał w Limanowej w 1943 roku w rejonie dawnej targowicy (później dworca PKS, dziś stacji benzynowej). Usytuowany był od mostu na potoku Mordarka do istniejącego jeszcze budynku, w którym dawniej była miejska rzeźnia.

Pisał o tym Antoni Mamak 10 lat temu na łamach „Almanachu Ziemi Limanowskiej” (nr 36/37 z roku 2009). Artykuł powstał w oparciu o bezpośrednią wypowiedź dziś już śp. Julii Mamak z domu Krajewskiej, która pracowała w tym obozie pracy od maja do grudnia 1944 roku.

Redakcja „EL” uznała, iż warto powrócić do historii tamtych lat, tym bardziej, że nie wszystkie wątki z opowiadania Julii Mamak (Krajewskiej) zostały opisane we wspomnianym artykule.

Okrągłe rocznice: 80. rocznica wybuchu II wojny światowej i 75. rocznica likwidacji obozu pracy w Limanowej, składają nas do zadumy i refleksji nad tymi wydarzeniami.

Stanisław Ociepka

(...) *Kości moje mchem porosną  
I użyźnią ziemi szmat (...)*  
Stanisław Magierski (1942 r.)

Antoni Mamak

# Niemiecki obóz pracy przymusowej w Limanowej

Trudno ocenić, jak wiele tajemnic z okresu II wojny światowej i pierwszych lat powojennych kryje Ziemia Limanowska. Ile mógł bezimiennych jest rozsianych po naszych górach, polach i lasach. Nawet nie wiemy, kto tam spoczywa. Czy jest to żołnierz, partyzant, osoba cywilna, ofiara zbrodni hitlerowskiej czy stalinowskiej albo osobistego porachunku.

Starsi ludzie, którzy te czasy przeżyli i byli świadkami tych wydarzeń, mówią o tym niechętnie z różnych powodów. Większa ich część już odeszła, zabierając ze sobą na zawsze swoje przeżycia i prawdy z tamtych okrutnych lat. Młode pokolenie, przed którym celowo zatajano lub fałszowano najnowszą polską historię, ma marne pojęcie o tragicznych wydarzeniach, które miały miejsce w ich rejonie w czasie okupacji hitlerowskiej i okresu stalinowskiego.

Historia, którą przedstawię w tym artykule, jest autentyczna. Opisana została przez bezpośrednich świadków, dzięki którym mogłem dokładnie odtworzyć wydarzenia, jak również czynię to także ze swoich osobistych przeżyć. Jako czternastoletni chłopak słyszałem niemal codziennie o egzekucjach wykonywanych przez hitlerowców na Żydach i polskich zakładnikach, a nawet byłem mimowolnym świadkiem ich wykonania.

Szczególnie utkwilo w mojej pamięci zastrzelenie młodego mężczyzny nieopodal naszego domu, uciekiniera z niemieckiego obozu pracy w Limanowej. Sprawa ta była owiana tajemnicą. O tym ludzie wówczas mówili szeptem, bo takie były czasy. Jako mały chłopiec z łękiem przechodziłem obok domu Michała Krajewskiego, gdzie na skraju lasu był pochowany ten uciekinier.

O niemieckim obozie pracy w Limanowej, ucieczce sześciu jego więźniów oraz tragicznym grudniowym zajściu w 1944 roku, opowiedziała mi Julia Mamak (Krajewska).

Kompleks obozu składał się z jednego dużego, kwadratowego baraku, w którym mieściła się kuchnia, magazyn ogólny, żywnościowy, obieralnia i stołówka dla starszyny niemieckiej. Od strony wschodniej oddzielone wąskim przejściem stały dwa długie, główne baraki, w których zakwaterowane było wojsko niemieckie, tak zwany TOD. W tych dwóch koszarowych barakach oprócz Niemców służyli również Ukraińcy, Austriacy i jacyś skończonoży żołnierze z Azji.

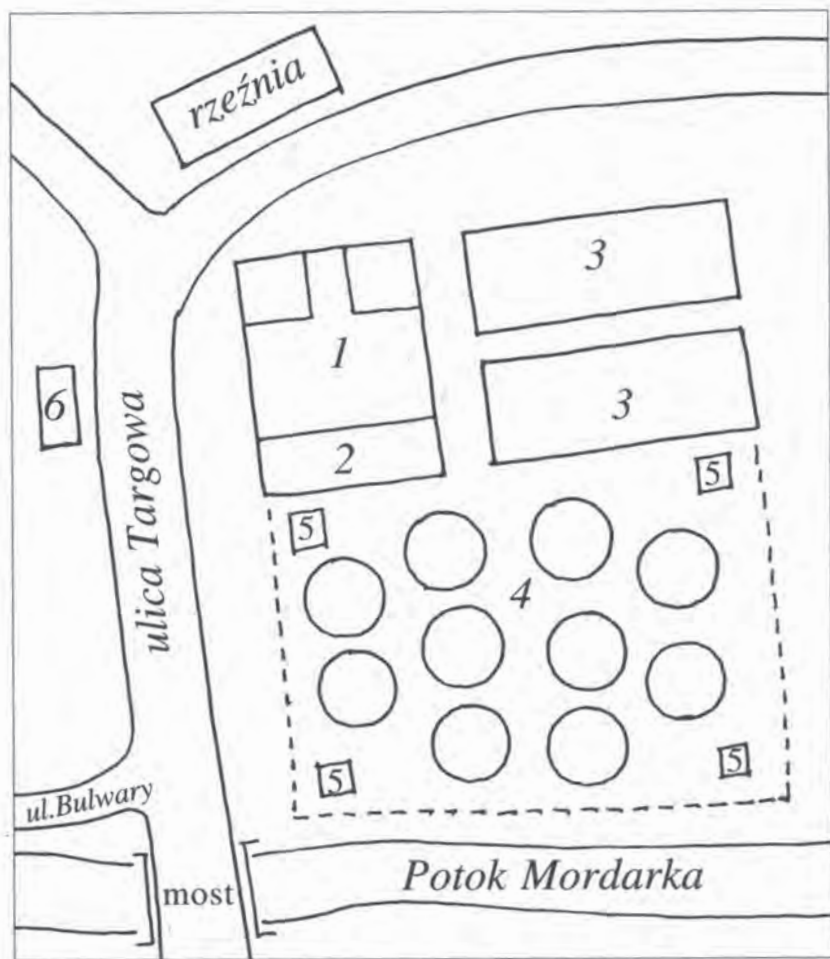
Ogółem zakwaterowanych było trzyestu pięćdziesięciu żołnierzy. Kucharz, który przygotowywał jedzenie dla wojska, oraz dwaj jego pomocnicy byli Niemcami. Starszyna niemiecka miała osobną stołówkę wydzieloną przy kuchni.

Właściwy obóz, w którym więzieni byli Polacy, był ogrodzony z trzech stron zaskakami z drutu kolczastego, a czwartą północną stroną stanowiły ściany baraków. W narożach tego placu stały cztery wieże strażnicze, na których rozmieszczone były niemieckie posterunki.

Na terenie za drutami postawiono około dziewięć okrągłych, drewnianych baraków, w których skoszarowani byli Polacy, przywiezieni przymusowo z Kresów Wschodnich. Byli to mężczyźni w wieku od lat osiemnastu do sześćdziesięciu. Pochodzili ze Stanisławowa (dziś Iwano-Frankiwnsk, zachodnia Ukraina), Chorostkowa (dziś obwód tarnopolski na Ukrainie), Chyrowa, Chodorowa, Kamionki Strumiłowej (dziś Kamionki Bużańskiej) – te trzy miejscowości obecnie są w obwodzie lwowskim na Ukrainie. Ogółem tych więźniów było 260.

Codziennie Polaków, robotników przymusowej pracy dowożono ciężarówkami pod eskortą oddziałów niemieckich do rafinerii ropy w Sowlinach.

O tym jakie warunki panowały w obozie pracy opowiedziała mi, dziś już nieżyjąca Julia Mamak (Krajewska), ostatnia z bezpośrednich świadków wydarzeń z 1944 roku, która odtworzyła własne przeżycia w obozie: *Nas Polek było czternaście, wszystkie byłyśmy skoszarowane przez Niemiecki Urząd Pracy*



**Legenda planu niemieckiego obozu pracy przymusowej w Limanowej:**

1. kuchnia,
  2. stołówka,
  3. koszary wojskowe,
  4. teren obozu z okrągłymi barakami dla więźniów,
  5. wieże strażnicze,
  6. nieistniejąca kapliczka.
- Linia przerywaną zaznaczono zasięki wokół obozu.

Plan został opracowany na podstawie wspomnień Julii Mamak z domu Krajewskiej

(Arbeitsamt). Niemieckim żołnierzom musiałyśmy pracować przy robotach w kuchni, sprzątać baraki i wykonywać najcięższe prace.

Do Polaków mieszkających za drutami w okrągłakach, tylko my dwie miałyśmy przepustki upoważniające do wejścia. Widziałyśmy tam niejedno, znałyśmy prawie wszystkich. Na pryzkach drewnianych, na garstce zgnilej słomy, leżeli chłopaki przykryci jakimś kocem. Polak gotował im jakąś zupę z padliny i kaszy. A to tak śmierdziało, że daleko było czuć. Głód dukał im. Kilo chleba na siedem dni, trzy papierosy na trzy dni.

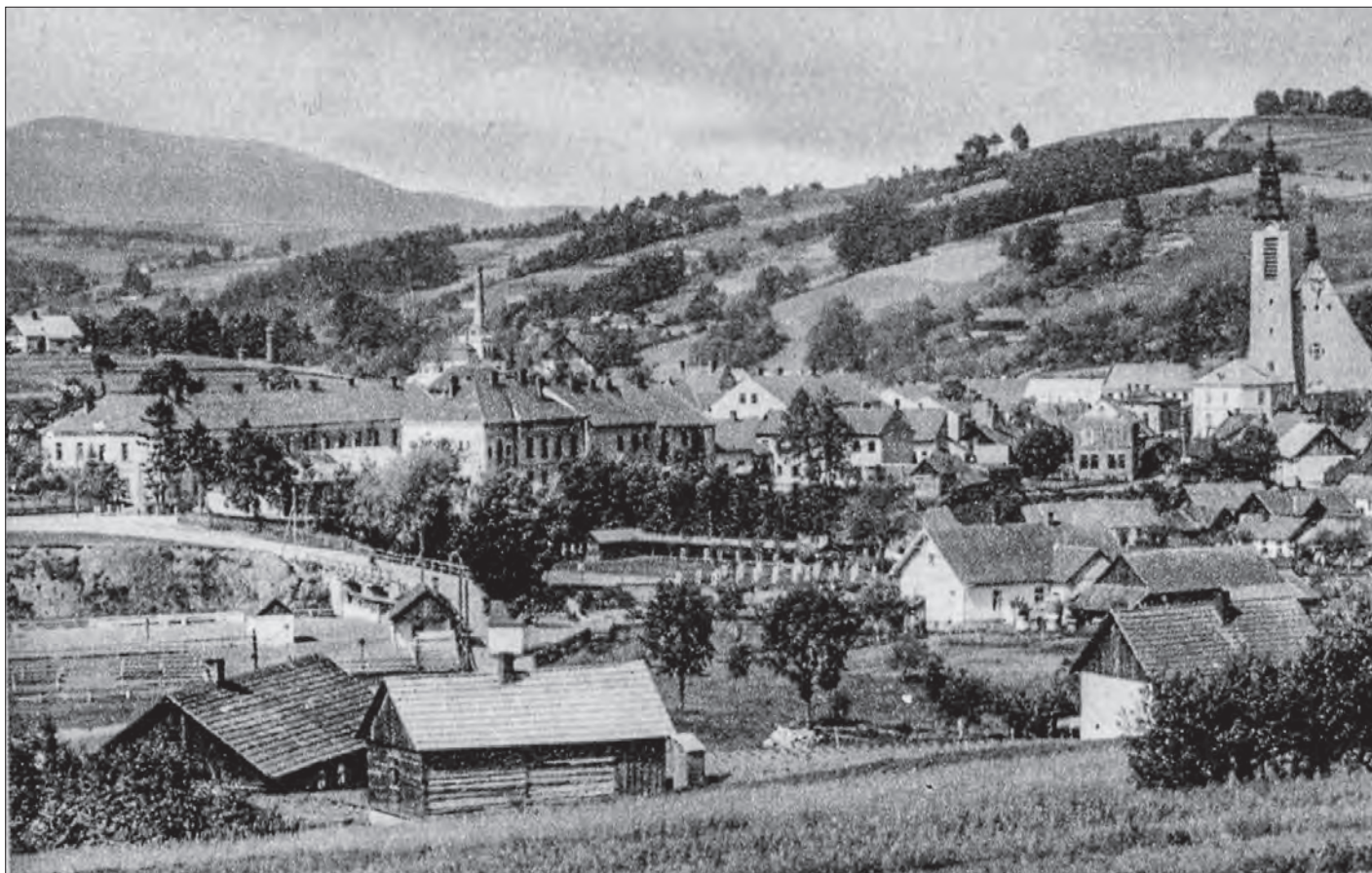


Przy moście na ulicy Targowej. Niemiecki obóz pracy znajdował się po prawej stronie. W głębi widoczna kapliczka

Ja wydawałam im papierosy i chleb. Pewnego razu jednemu z nich zamiast trzech papierosów dałam siedem. Niemiec, który to zauważył tak mnie stłukł, że miałam tego dość. –Ty świnię, do Oświęcimia cię wyślę – zagroził. Ale nie patrząc na nic, na drugi albo na trzeci dzień, dałam choremu Polakowi chleb, który ukradłam ze stołu niemieckiej starszyny. Zobaczył to z wieżyczki posterunkowy, nie wiedziałam co mam robić, czy choremu, głodnemu mam chleb odebrać? Wtedy wartownik się odezwał: – Nie bój się, nikomu nie powiem, jestem ze Śląska, wzięli mnie przymusowo do wojska.

Jednego dnia widziałam w magazynie, że przy ścianie jest chleb. Ściana była z listew. Nie zdając sobie sprawy, co robię, oderwałam listwę i ukradłam osiem bochenków chleba. Chleb ten podała chłopakom jedna z pracownic. To była inwalidka ze wschodu, zacny człowiek Jadwiga Żuławska, po wojnie długoletnia nauczycielka biologii, geografii i języka polskiego w Liceum Pedagogicznym w Limanowej. Zmarła w 1987 r. i została pochowana na parafialnym cmentarzu w naszym mieście. Kucharz kradzież zauważył, ale mnie lubił. Mówił, że jestem podobna do jego córki. I tak mi się upiekło, a chłopaki sobie trochę pojedli.

Był lipiec 1944 roku, słychać było, że ze wschodu zbliża się front. Jednego dnia, idąc koło baraku, zobaczyłam że stał tam ciągnik, naprawiali go. Jeden z nich szepnął mi: Weź moich kilka drobiazgow, dzisiaj w nocy ucieka nas sześciu. Pamiętam jakie to były rzeczy: książeczki do modlitwy, obrazki i zdjęcia rodziny. W nocy



Z lewej strony mostu widoczny plac (skupu zwierząt), na którym stały baraki niemieckiego obozu pracy. Z prawej strony mostu boiska „Sokoła” z widoczną kregielnią. Przed mostem pomnik „Nieznanego Żołnierza”, obok budynek „Sokoła” - lata międzywojenne

► chłopaki uciekli z obozu. Przenocowali w naszej stodole. Wieczorem dostałam wiadomość, żeby w nocy zaprowadzić ich na umówione miejsce. Tam czekał na nich człowiek z AK i zaprowadził ich do dworu w Laskowej.

Na drugi dzień po wykryciu ucieczki więźniów nastąpiły represje. Gestapo przesłuchiwało i biło tych więźniów, którzy nie pojechali do pracy, bo byli chorzy. Ja też byłam przesłuchiwana, bo ktoś mnie widział, że rozmawiałam z nimi. W Laskowej chłopcy pracowali do końca listopada 1944 roku. Kiedy spadł śnieg, kazano im poszukać sobie innego schronienia. Jeden z nich, Józef Tokarczyk, przyjechał do naszego domu. To była niedziela. Ja z mamą przyszłyśmy z kościoła. Józiu siedział w kuchni przy stole i kreślił głowę Jezusa w cierniowej koronie. Podszedł do mamy i poprosił, żeby mógł zostać. Mama mówi: – Dziecko, jest nas dziewięcioro i jest nam ciężko, ale i ty się zmieścisz. Pozostał i ukrywał się u nas od pierwszego do ósmego grudnia. Wieczorem tego dnia został zamordowany przez ludzi „z lasu”. Kazano nam go pochować na skraju lasu. Miał zaledwie 22 lata. Odchodząc, zabronili komukolwiek o tym mówić i zagrozili, że jak

o tym powiemy, to spalą dom i wystrzelają całą rodzinę. Po wojnie w tej sprawie byłam dziewięć razy wzywana do Urzędu Bezpieczeństwa, który był obok starego kina.

Ojciec Józia, Władysław Tokarczyk, wraz z rodziną w ramach wysiedlenia z Kresów Wschodnich zamieszkał w Otmuchowie. W jaki sposób dowiedział się o losie syna, nie pamiętam. Wiem natomiast, iż korespondował listownie z moim ojcem. W rodzinnych pamiętkach zachował się jego oryginalny list z 22 sierpnia 1945 roku. W liście tym dziękuje ojcu za wszystko co mógł zrobić dla jego pierworodnego syna. (w artykule prezentujemy fragment tego listu – przyp. red.).

Drugi z tych co uciekli, nazywał się Józef Przysiężny. Pochodził z Chorostkowa, ukrywał się pod Górą w domu rodzinnym Michała Czachury, (aresztowany za pomoc osobom narodowości żydowskiej oraz słuchanie radia, w 1943 roku został wywieziony do KL Auschwitz – przyp. red.).

Przysiężny po wojnie ożenił się z Heleną Porębą i zamieszkał na stałe w Limanowej. Trzeci z nich ukrywał się na Górach u Heleny Włodarczyk. Niestety córka Hania nie pamięta jego nazwiska. Wyjechał on zaraz po wojnie. Z tej szóstki, co po ucieczce

z obozu nocowali w naszej stodole, po wojnie dwóch przyjechało podziękować mojej rodzinie. Wszyscy oni wyjechali na ziemie odzyskane, bo ich rodzinne strony zostały wcielone do Związku Radzieckiego.

Obóz istniał do końca grudnia 1944 roku. Według przekazu Julii Mamak (Krajewskiej), która do tego czasu tam pracowała zdołało uciec z niego około dwunastu więźniów, pozostałych Niemcy gdzieś wywieźli.

Niestety nie zachowały się żadne fotografie niemieckiego obozu pracy w Limanowej (na tzw. targowicy), tak jak zostały przechowane zdjęcia ukazujące więźniów sowieckich w obozie w Sowlinach w 1941r. czy Żydów w 1942 roku w tym samym obozie. Jedynie jak wspominałem istnieją oryginalne listy ojca jednego z więźniów oraz nakreślony plan niemieckiego obozu na podstawie wspomnień Julii Krajewskiej. Także bezpośredni świadek, dziś śp. Artur Struzik, mieszkający na „Kamieńcu”, czyli w rejonie, który znajduje się w bliskości z terenem obozu pracy wspominał: *Pod koniec zimy 1945 roku chodziłem wraz z kolegą Świdorskim po pustych barakach. Szukaliśmy amunicji do karabinu.*

(ciąg dalszy na stronie 37)



# ORGANIZACJA PRZYJĘĆ OKOLICZNOŚCIOWYCH

**Siwy Brzeg**

Restauracja Siwy Brzeg  
Limanowa, ul. Br. Czecha 4

tel. 18 3373 878

[www.siwybrzeg.pl](http://www.siwybrzeg.pl)



**NIE BACZĄC NA REMONT**  
Limanowskiego Domu Kultury  
Restauracja **SIWY BRZEG**  
Ma się dobrze!

## ZAPRASZAMY

do nowych estetycznych sal w których organizujemy:  
wesela, bankiety, przyjęcia okolicznościowe i inne

Pyszne jedzenie  
Dania na zamówienie  
**CATERING**

**Stary Browar**

Restauracja Stary Browar  
Limanowa, ul. J. Marka 9

tel. 18 337 9999

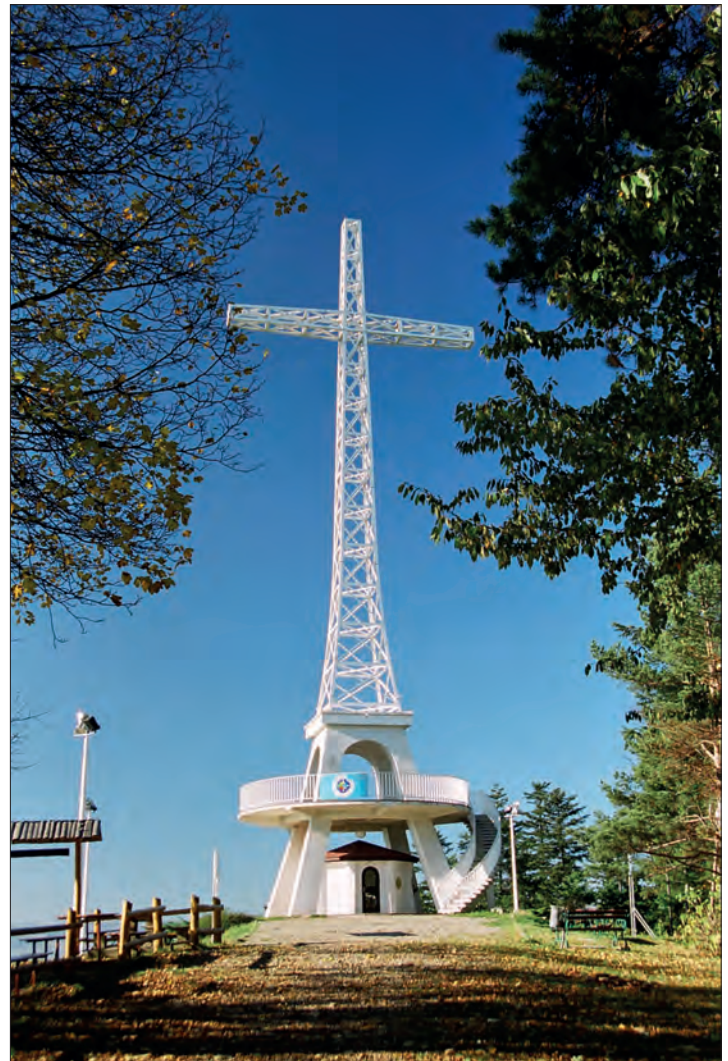
[www.starybrowar.siwybrzeg.pl](http://www.starybrowar.siwybrzeg.pl)



*Zapraszamy!*



## Rok 1999





## Rok 2019





Producent Środków Czystości  
od 1991 roku

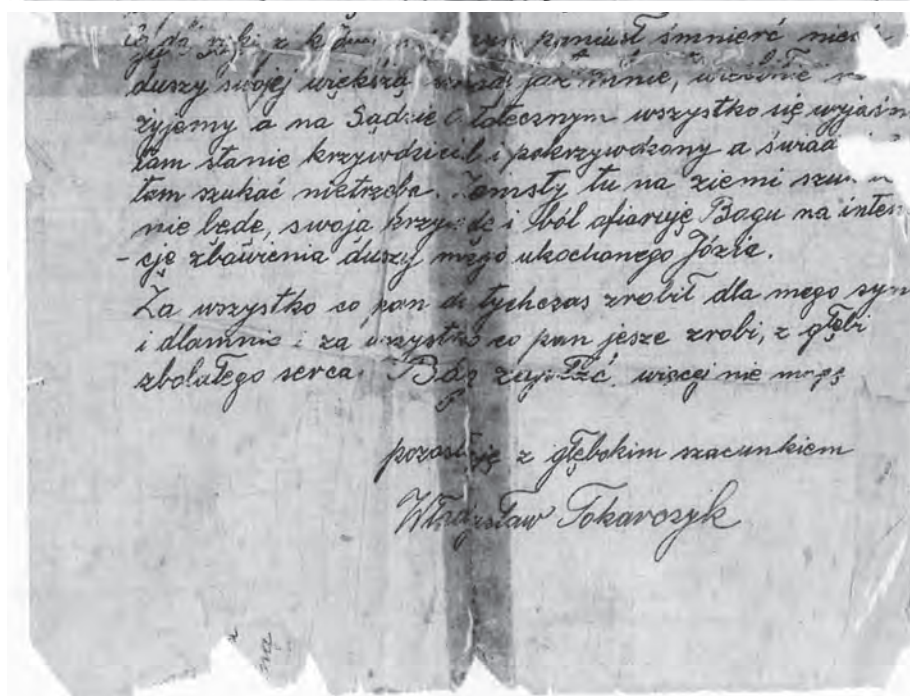
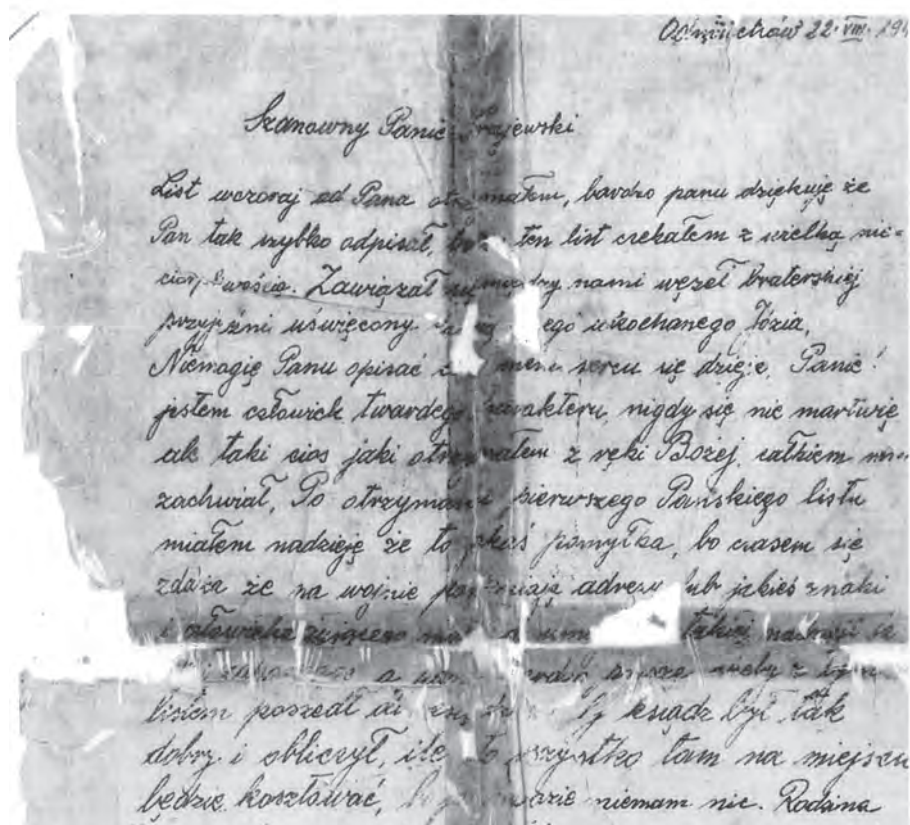
golddrop.eu



**Polecamy się  
do expresowych porządków!**

Gold Drop Sp. z o.o., ul. Rzečna 11d, 34-600 Limanowa,  
tel. 18 3376137

# Niemiecki obóz pracy przymusowej w Limanowej



Fragmenty listu Władysława Tokarczyka do Michała Krajewskiego - 1947 rok

Ja wyszedłem już z baraku, mój kolega pozostał jeszcze w środku. Zawadził nogą o jakiś drut, co spowodowało wybuch miny. Część baraku wyleciała w powietrze i zaczęła się palić. Ranny kolega zmarł z powodu odniesienia ran.

Od najmłodszych lat gdy zachodziłem do siostry Kazimiery Mamak Poręby, która mieszkała w pobliżu Krajewskich, gdzie na skraju lasu został pochowany uciekinier niemieckiego obozu pracy, przystawałem przy jego mogile i w zadumie

odmawiałem modlitwę. Zawsze w okresie 1 listopada na jego grobie świeciły się lampiony. W latach powojennych to zdarzenie, które miało miejsce 8 grudnia 1944 r. było otoczone tajemnicą. Ludzie o tym zjściu mówili szeptem. I na tym się kończyło.

Jak przedstawiłem w artykule z opowiadań Julii Krajewskiej (zmarła w roku bieżącym w wieku 90 lat) wiedziałem, że zaraz po wojnie ojciec zamordowanego uciekiniera niemieckiego obozu pracy w Limanowej nawiązał kontakt z rodziną Krajewskich. Dlaczego więc nie doszło do ekshumacji tego nieszczęśnika? Nigdy się nie dowiedziałem.

Po zgromadzeniu określonej ilości wiadomości (rozmowy z bezpośrednimi świadkami) i skromnych dowodów w roku 2011 podjąłem czynności związane z uszanowaniem mogiły Józefa Tokarczyka pochowanego na skraju lasu w bliskości domu rodzinnego Krajewskich. W związku z tym skierowałem pisma do Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. W odpowiedzi otrzymałem informację, iż tymi sprawami zajmuje się Wydział Rewaloryzacji Zabytków Krakowa i Dziedzictwa Narodowego Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie. Równoległe otrzymałem wezwanie do IPN w Krakowie w charakterze świadka w tej sprawie, w którym to piśmie m.in. napisano: Zwracam się do Pana o złożenie zeznań w charakterze świadka, w postępowaniu, którego wyniki zależeć będą również od tego, w jakim zakresie Pańska wiedza i Pańskie przeżycia zostaną udokumentowane w postaci protokołu przesłuchania świadka.

Na to wezwanie odpisałem do IPN, że ze względu na wiek i stan zdrowia nie mogę zgłosić się w urzędzie w Krakowie, równocześnie prosząc o przesłuchanie w Limanowej. Do przesłuchania nie doszło, jak i również nie zwróciłem się do Wydziału Rewaloryzacji Zabytków Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie.

Próbowałem tematem zainteresować działaczy lokalnych Związku Kombatanów RP i Byłych Więźniów Politycznych, którzy temu nie podjęli.

Mogiła więc od 75 lat pozostaje w tym samym miejscu na skraju lasu „Pod Górą”.

**Materiały arch. ze zbiorów Antoniego Mamaka**  
**Fotografie: arch. albumu „Okruchy pamięci”**

# Wspomnienie z września 1939 roku

Gdy wybuchła wojna, miałam 9 lat. Mieszkałam z rodzicami w Limanowej, a wakacje roku 1939 spędzałam u wujostwa Anieli i Kazimierza Krupa w Brzesku-Okocim. Rankiem 1 września wpadł do pokoju, w którym spałam, mój wuj i zawołał „Danusia, wojna!”. Zerwałam się na równe nogi i wpadłam w rozpacz, że nie jestem w tej strasznej chwili z moimi Rodzicami w Limanowej. Ciocia moja pobiegła do sklepu, aby zakupić na zapas żywność. Niestety, jedyną rzeczą, jaką udało jej się zdobyć była torba cukru w kostkach.

Tymczasem nadeszła wiadomość, że należy jak najszybciej uciekać na wschód przed armią hitlerowską. Ruszyliśmy więc w drogę, Wujostwo, ich dzieci, starsze ode mnie i ja, najmłodsza. Szliśmy pieszo, w ogromnym upale jaki wówczas panował, a nocą spaliliśmy na sianie. Ja zwykle szłam ostatnia. W pewnym momencie nadleciały niemieckie samoloty i rozpoczęły bombardowanie uciekinierów. Przechodziliśmy akurat obok pola kwitnącego łubinu, więc tam ukryliśmy się, by się ratować. Modliłam się do Matki Boskiej, odmawiając „Pod Twoją obronę...” i różaniec, który udało mi się zabrać z Brzeska. Był to różaniec z bursztynu, w bursztynowym pudrku, pamiątka od moich rodziców przywieziona z Gdyni. Być może sprawiła to Matka Boska, ale wszyscy przeżyliśmy to bombardowanie.

Idąc dalej, sięgnęłam do kieszonki po ów różaniec, ale go tam nie było. Straciłam najcenniejszą rzecz jaką miałam. Dalszą drogę przepłakałam, myśląc o moich rodzicach, a nie wiedziałam wówczas, że oni również uciekali na wschód i dotarli do Stanisławowa, skąd powrócili ostatnim możliwym transportem przez Przemyśl do Limanowej. Mama moja opowiadała później, że bardzo o mnie się martwiła, nie wiedząc co ze mną się dzieje. Nasza grupa uciekinierów dotarła do Kolbuszowej. Tam kazano nam wracać z powrotem, gdyż Armia Czerwona zaatakowała Polskę od wschodu. Nie pamiętam zbyt dobrze drogi powrotnej do Brzeska, a tylko to, że jakiś odcinek drogi udało się pokonać na wozie drabiniastym.



Przemarsz wojsk niemieckich we wrześniu 1939 roku na ulicy Krakowskiej (obecnie Piłsudskiego) na wysokości stacji kolejowej



W Brzesku okazało się, że uzyskanie pozwolenia od okupanta na powrót do Limanowej nie jest łatwe, ale po wielu trudach udało się mojej cioci je zdobyć. Ponownie wyruszyłam pieszo w drogę, tym razem z kuzynką starszą o 7 lat. Cieszyłam się, że wracam do rodziców i rodzeństwa, płakałam tylko ciągle z powodu straty różańca. Pamiętam moment powrotu do domu i rozpostarte ramiona Ojca, w które wpadłam uradowana. Nie dane mi było nacieszyć się jego obecnością, gdyż został aresztowany w roku 1941 i spędził całą okupację w obozach zagłady.

Dzieciństwo moje, jak i wielu dzieci, w tamtych latach nie było, cytując Wieszcza „sielskie, anielskie”.

**Fotografie: Grzegorz Joniec**

*Serdecznie dziękuję Pani Danucie Suwale i Jej córce Barbarze Gołębiowskiej za nadanie wspomnień z okresu września 1939 roku.*

**Stanisław Ociepka**

# Człowiek silnego charakteru

## – w 60. rocznicę śmierci Juliana Czeczótki

Nasycony patriotyzmem, pasjonat futbolu, z zawodu kuciek zajmujący się handlem bydła. Tak krótko można scharakteryzować Juliana Czeczótkę, który bez reszty zaangażowany był w działalność społeczną w Limanowej, a nade wszystko konspiracyjną w okresie okupacji niemieckiej.

Zmarł 60 lat temu, podczas meczu „Limanovia” Limanowa – „Dunajec” Nowy Sącz, 26 kwietnia 1959 roku. W tym roku przypada również 115. rocznica Jego urodzin.

Julian Józef Czeczótko, syn Wincentego i Apolonii z Sotowiczów, urodził się 26 czerwca 1904 r. w Szczakowej. (Ojciec Wincenty walczył w Legionach). Miał dwie siostry: Marię i Elżbietę oraz dwóch braci: Edmunda i Jana, późniejszego znanego w Limanowej nauczyciela, podinspektora ds. opieki nad dzieckiem, zapalonego myśliwego, współzałożyciela koła łowieckiego „Jaworz”.

Julian do szkoły powszechnej uczęszczał w Limanowej, a do zawodowej w Zakopanem, gdzie odbył praktykę rzeźniczo-masarską w latach 1919-1922. Pierwszą pracę podjął u Józefa Galicy w Zakopanem w roku 1922, jako czeladnik i pracował tam do 1930 roku.

Będąc w Zakopanem, w roku 1924 wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), do której należał do czasu zjednoczenia PPS i PPR, czyli do 1948 roku.

W Zakopanem poznał Marię Magdalenę z Grabowskich (ur. 29 stycznia 1913 r. w Zakopanem), z którą ożenił się 24 listopada 1929 roku. Maria i Julian Czeczótkowie mieli pięcioro dzieci: Romana, Dorotę, Marię, Barbarę i Liliannę. Po śmierci Juliana, wdowa Maria wyszła ponownie za mąż za Stanisława Mamaka.

Powracając do przebiegu pracy Juliana, to w roku 1931 prowadził sklep rzeźniczo-masarski w Zakopanem, który zlikwidował w roku 1933 z powodu ciężkich warunków i wyjechał do Pcimia. Tam podjął pracę u Arona Lustiga jako kucharz,



Świąteczny spacer. Na limanowskim rynku Apolonia Czeczótko z synem Julianem i wnuczką Dorotą (Baczyńską) - 1933 rok

gdzie gotował dla pracowników drogowych. Pracę tę wykonywał do 1938 roku i powrócił do Limanowej, pozostając na utrzymaniu rodziców do 1940 roku. W latach okupacji hitlerowskiej prowadził wyrób mięsa w Limanowej, to pozwoliło mu na łatwiejszą działalność konspiracyjną, o czym w dalszej części felietonu.

Po wojnie w latach 1945-46 pracował jako rzeźnik w Spółdzielni Rolniczej „Kosa” w Limanowej, aby następnie w latach 1947-48 prowadzić skup bydła i świń na Fundusz Apropowizacyjny w Krakowie. Od roku 1949 do 1951 był klasyfikatorem w Centrali Mięsnej w Limanowej. Przed przejściem na emeryturę w 1954 r. pracował jeszcze w Powszechnej Spółdzielni Spożywców (PSS) „Jedność” w Limanowej (późniejsza Miejska Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu w Limanowej).

Był członkiem Małopolskiego Związku Hodowli Bydła Czerwonego Polskiego w Krakowie.

Jego dynamiczna praca zawodowa sprawiła, iż status finansowy p. Czeczótków po wojnie był na dobrym poziomie. Świadczy o tym fakt, że w 1947 roku stać ich było na zakup dwóch samochodów. W czerwcu Julian, kupuje samochód ciężarowy marki „Skoda” typ 254 D, zaś w listopadzie żona Maria, nabywa samochód osobowy marki „Hanomag”.



Na limanowskim rynku. Julian Czeczótko (z lewej) - lata międzywojenne



Jeden z meczy na boisku w Limanowej w latach okupacji niemieckiej. Julian Czeczotka stoi czwarty z prawej

► Jego działalność zarówno konspiracyjna w czasie II wojny światowej, jak i sportowa w klubie „Limanovia” w Limanowej, zasługuje na szczególne uznanie i szacunek.

Należał w latach 1939-45 do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

O działalności konspiracyjnej Juliana Czeczotki można przeczytać w wydanym w 1989 roku „Roczniku Sądeckim” (tom osiemnastym Placówka Limanowa str.237-255). Oto fragment tego opisu: (...), „Ekstra oddziałem” mającym wejść w skład sił zbrojnych placówki była drużyna piłki nożnej (w podstawowym składzie), którą zorganizował przy pomocy szefa Arbeitsamtu Kotlika i Juliana Czeczotki znany piłkarz i trener kadry narodowej Stanisław Baran „Eskimos”. W zespole tym znalazła się najbardziej bojowa młodzież limanowska, którą „Eskimos” pod pretekstem ćwiczeń sportowych szkolił wojskowo z zamiarem wprowadzenia jej w skład kompanii „Ligas”. Kwaterą, w której ukrywał się Baran, był dom Juliana Czeczotki (...).

(...) Aby obronić młodych ludzi, potrzebnych do bojowej rozprawy z wrogiem, od wywozu na roboty przymusowe do Niemiec, Zygmunt Joniec „Zyg” dotarł do szefa limanowskiego Arbeitsamtu Henryka Kotlika. A dotarł... przez żołądek. Mianowicie Kotlik stołował się w domu działaczy sportowych i aktywistów tutejszego podziemia Marii i Juliana Czeczotków przy ul. Sądeckiej (dziś Kościuszki). Czeczotkowie, działając według dyrektyw „Zyga”, karmili Kotlika możliwie najlepiej. No a wiadomo, że przy suto zastawionym stole rozmawia się łatwiej i skuteczniej, tym bardziej, gdy prowadzi je wyjątkowo uroczą pani domu. Efektem tych rozmów była długa lista młodych mężczyzn zwolnionych przez Kotlika od wyjazdu na roboty.

Kotlik nie tylko ujawniał Czeczotkom w zaufaniu wiele danych o bardzo istotnym dla wywiadu znaczeniu. Podawał także daty zamierzonych obław na młodzież, co pozwalało zagrożonym zniknąć w porę i ratować się od katorżniczej pracy.

Z domem Czeczotków wiąże się także ciekawa postać tamtego czasu: wiedeńczyk, zakamuflowany antyfaszysta w niemieckiej służbie – Franz Tesik „Franc”. Będąc w Szczawnicy latem 1944 r., uciekł z pełnym uzbrojeniem do partyzantki i po zweryfikowaniu służył w 2 kompanii I baonu 1 PSP-AK. Ranny ciężko w nogi w bitwie, jaką I baon stoczył 13 stycznia 1945 r. w rejonie Szczawy, leczony dorywczo i byle jak, osiadł wreszcie w otwartym na wszelką nędzę domu Czeczotków. Tu wrócił do zdrowia i polubiwszy gospodarzy pozostał u nich, pracując w ich przedsiębiorstwie do 1952r., kiedy to zdecydował się na powrót do rodzinnego kraju.

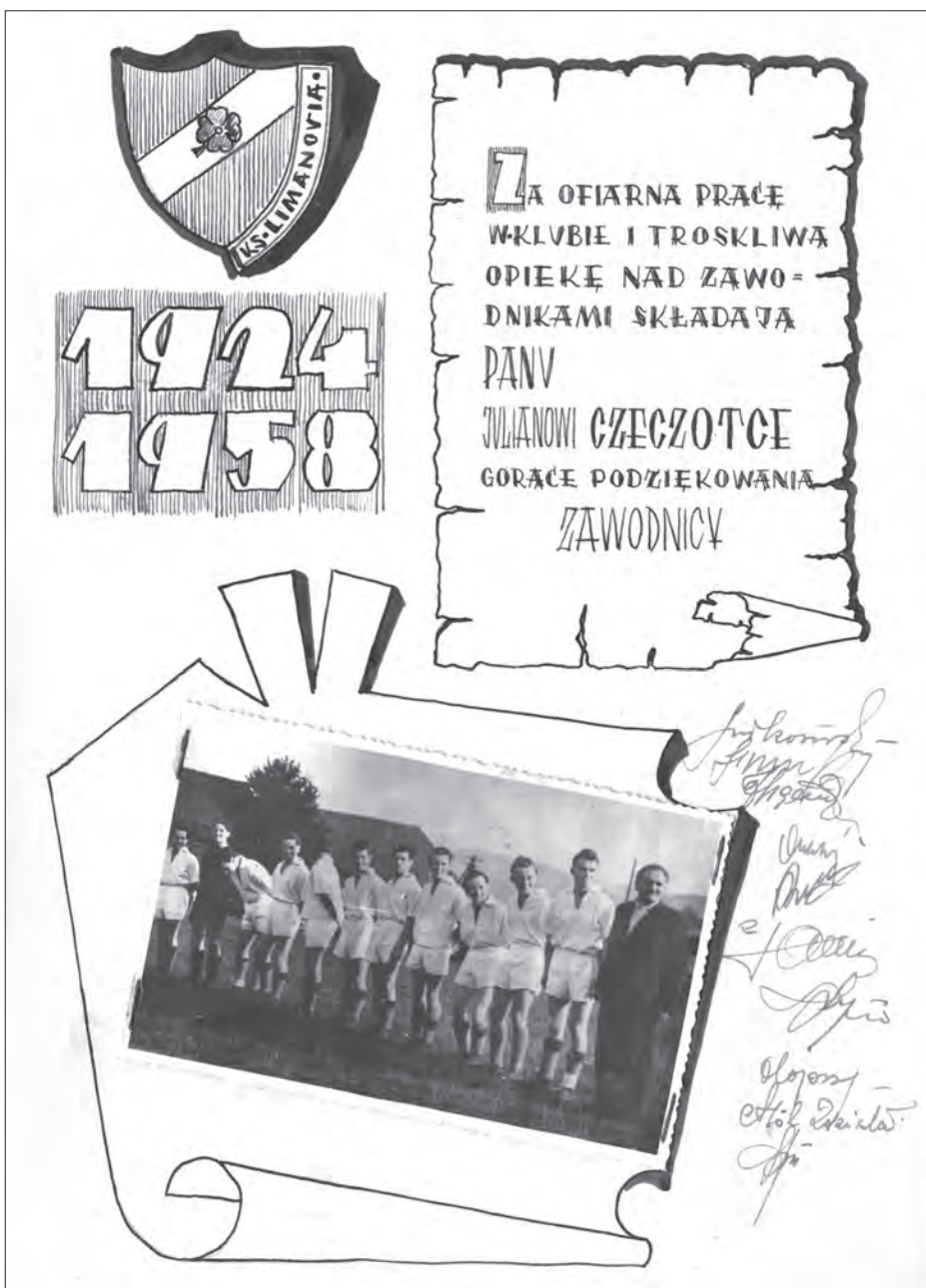
W czasie okupacji Julian Czeczotka był dwukrotnie aresztowany. Po raz pierwszy w październiku 1942 r. na mocy zarządzenia landkomisarza, został wyznaczony na zakładnika z miasta Limanowej (w czasie okupacji w Limanowej był wydział starostwa nowosądeckiego, na czele którego stał niemiecki starosta – landkomisarz). Po raz drugi w 1943 r. był aresztowany i osadzony w więzieniu w Nowym Sączu, wspominała o tym córka Maria, która z matką jeździła do ojca osadzonego w więzieniu. Po krótkim czasie został zwolniony.

Wielką pasją życiową Juliana Czeczotki była piłka nożna. Jak wspomniałem był inicjatorem powstania „futbolowej spec drużyny” w Limanowej w czasie okupacji, pomimo zakazu Hansa Franka generalnego gubernatora GG, który wydał rozporządzenie likwidujące wszystkie związki, stowarzyszenia i kluby sportowe. Ze strony okupanta za uprawianie sportu groziły poważne represje. Pomimo tego w Limanowej podjęto działalność sportową. W latach 1943-44 organizowano zawody sportowe m.in. kręgle na placu „Sokoła” na Kamieńcu, a przede wszystkim mecze piłki nożnej. Te ostatnie odbywały się w konspiracji przed okupantem. Przeciwnikami „Limanovii” były drużyny: z Tarnowa, Krakowa, Muszyny, Zakopanego, Nowego Targu, Rabki i Nowego Sącza. Istnieje pełna dokumentacja fotograficzna z przebiegu tych spotkań sportowych,





Na stacji w Limanowej. Działacze i zawodnicy „Wisły” Kraków w towarzystwie Juliana Czechtówki – październik 1943 rok



której autorem był Grzegorz Joniec, miłośnik fotografii, a zarazem czynny zawodnik w tych meczach.

Wyjątkowym wydarzeniem sportowym w Limanowej był mecz z „Wisłą” Kraków wygrany przez drużynę limanowską 3:2. Mecz odbył się w październiku 1943 roku. Wydarzenie to zostało opisane w książce Stanisława Chemicza zatytułowanej „Piłka nożna w okupowanym Krakowie” (str. 108,109). Można również na ten temat przeczytać w „Echu Limanowskim” (nr 176-177, maj-czerwiec, 2009 r.).

Po II wojnie światowej Julian był jednym z tych, którzy organizowali drużynę piłki nożnej w Limanowej.

Aby pozyskać środki finansowe na działalność klubu, wraz z żoną Marią w latach 40. i 50. XX wieku organizował festyny okolicznościowe. W czasie tych festynów mieszkańcy Limanowej przynosili różne przedmioty: książki, artykuły spożywcze czy przemysłowe, które stawały się fantami w organizowanych loteriach. Zasiadał w Zarządzie Klubu, a także był kierownikiem drużyny, która w 1958 r. awansowała do klasy „A” w tym czasie stojącej na wysokim poziomie sportowym.

W trudnym dla komunikacji okresie wypożyczał własny samochód ciężarowy, którym drużyna oraz kibice limanowscy mogli wyjeżdżać na mecze.

Zwienieczeniem jego działalności sportowej był wybór na wiceprezesa klubu w sierpniu 1958 roku.

Niestety jego aktywność zawodowa, społeczna oraz przeżycia w okresie okupacji sprawiły, iż doznał zawału serca, 26 kwietnia 1959 r. w czasie meczu w Nowym Sączu, w wyniku którego zmarł. Został pochowany w grobie rodzinnym na parafialnym cmentarzu w Limanowej. Później przeniesiony do grobowca syna Romana na cmentarzu komunalnym w Limanowej.

#### Fotografie z rodzinnych zbiorów Czechtótków

Wyrażam podziękowanie p. Liliannie Mamak za przekazanie fotografii i materiałów do artykułu oraz p. Marii Czechtówka Mirowicz za konsultacje.

Obok: Tytułowa strona z pamiętnika Juliana Czechtówki. Na fotografii drużyna „Limanovii”, która awansowała do klasy „A”. Julian Czechtówka pierwszy z prawej

# Podziękowanie mieszkańcom Limanowej za pamięć i patriotyczną postawę

*„Ojczyzna to ziemia i groby.  
Narody tracąc pamięć, tracą życie”*

Taki napis wita wszystkich odwiedzających groby zasłużonych na Pęksowym Brzyzku – najstarszym zakopiańskim cmentarzu znajdującym się obok zabytkowego drewnianego kościoła, wzniesionego przez pierwszego proboszcza Księdza J. Stolarczyka, który dla miejscowych górali był wszystkim – przywódcą dusz, sprawiedliwym sędzią, wyrocznią w sprawach moralnych, nauczycielem i opiekunem.

Tak się przyjęło, że prawie każda wycieczka odwiedzająca Zakopane wstępuje do niewielkiej świątyni, a potem kieruje swe kroki na Cmentarz Zasłużonych, by w skupieniu pochylić głowę przed ostatnim miejscem ich ziemskiego pobytu.

Każda miejscowość ma taki Pęksowy Brzyzek, miejsce pamięci o zasłużonych, Limanowa również.

W Limanowej to niewielki cmentarzyk, a właściwie wydzielona kwatera na cmentarzu parafialnym, w której spoczęli żołnierze biorący udział w bitwie o Wzgórze Jabłoniec (8 XII-12 XII 1914 r.). Wieczny spoczynek w Limanowej znaleźli tylko

ci, którzy padli w najbliższych miejscowościach, głównie na Lipowem.

Od tamtego historycznego wydarzenia nie było pochówków w kwaterze wojskowej na limanowskim cmentarzu.

Nagle odejście do wieczności znanego artysty – malarza Wincentego Gawrona – Syna Ziemi Limanowskiej, byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, przyjaciela Rotmistrza Witolda Pileckiego, któremu zawdzięczał udaną ucieczkę z obozowego piekła, autora trzech witraży ofiarowanych Matce Bożej Limanowskiej, człowieka któremu tak wiele zawdzięcza Polonia w Chicago oraz stała troska o rodzinne miasto spowodowała, że ówczesny Przewodniczący Ksiądz Prałat Józef Poręba ofiarował tak godne miejsce pochówku zasłużonemu limanowianinowi. Miało to miejsce 31 sierpnia 1991 roku.

Od tego czasu wszystkie uroczystości patriotyczne i narodowe odbywają się przy grobie Artysty.

Institucje państwowe składają wieńce na płycie grobowej Wincentego, żołnierze Jednostki Wojskowej z Tymbarku pełnią wartę honorową, podobnie harcerze i uczniowie limanowskich szkół,



Wincenty Gawron 1908-1991

delegacja Krakowskiego Wojewody przywozi wieniec i oddaje honory, a uczniowie szkół i mieszkańcy miasta zapalają dziesiątki zniczy.

Za każdym razem jest to uroczystość bardzo podniosła i wzruszająca.

Należy podkreślić, że młodzież pod opieką wychowawców często przychodzi odwiedzić grób Wielkiego Polaka także bez specjalnych okazji, z potrzeby serca. To bardzo ważne, bo wówczas jest okazja do rozmowy, wymiany zdań i posłuchania wspomnień swych opiekunów, budowania szacunku dla zasłużonych osób, właściwej oceny naszej wspólnej historycznej przeszłości i zrozumienia jakim wartościowym byliśmy i jesteśmy narodem.

Za wspaniałe wychowanie patriotyczne, za budujący przykład pamięci o Człowieku, który już dawno nie żyje, ale był wiernym Synem Limanowskiej Ziemi, która była dla Niego najważniejsza, JEDYNA i choć zły los rzucił Go od niej daleko, żył Nią i dla Niej. Wychowawcom, Opiekunom Organizacji Młodzieżowych, Rodzicom, Dzieciom oraz mieszkańcom Miasta składam za to serdeczne podziękowanie.



Płyta nagrobna Wincentego Gawrona w kwaterze wojennej parafialnego cmentarza w Limanowej

# Udział limanowian w „Bitwie o Anglię”

Tomasz Jacek Lis

*Nigdy w dziejach ludzkich konfliktów tak wielu nie zawdzięczało tak wiele, tak nielicznym – 20 sierpnia 1940 r. Winston Churchill wypowiedział te słowa jako komentarz do pierwszych zwycięstw brytyjskich sił powietrznych RAF (Royal Air Force) w walce z niemieckim Luftwaffe. Wśród tych „niewielu”, o których wspomina brytyjski premier nie brakowało również polskich lotników. Byli to nie tylko członkowie Dywizjonu 303, ale również piloci innych jednostek Dywizjonów 301, 302, 308 czy 315, itd. Nie można również zapominać o polskiej załodze naziemnej, mechanikach, tłumaczach, lekarzach, itd. bez których niemożliwe byłoby odniesienie sukcesu, jakim było podniebne zwycięstwo Zjednoczonego Królestwa nad Niemcami. Należy też pamiętać o poświęceniu rzeszy kobiet pracujących w Pomocniczej Służbie Lotniczej – WAAF (Women's Auxiliary Air Force). Sumując, w Brytyjskiej Służbie Lotniczej w okresie II wojny światowej pracowało ponad 17 tys. Polaków, którzy swoim oddaniem i codzienną pracą przyczynili się do wspólnego sukcesu.*

Najwięcej Polaków w armii Zjednoczonego Królestwa znalazło się w 1940 r., kiedy to po kapitulacji Francji Wyspy Brytyjskie stały się ostatnim miejscem na mapie Europy, które mogło przeciwstawić się niemieckiej agresji. To właśnie rząd Wielkiej Brytanii pod wodzą Winstona Churchilla podjął decyzję, by włączyć żołnierzy z pokonanych krajów, w tym również Polski, w skład swojej armii. Chodziło tu przede wszystkim o lotników i specjalistów lotnictwa, gdyż to właśnie walka w powietrzu miała rozstrzygnąć losy Wysp. Początkowo niechętnie podchodzono do tego pomysłu, tym bardziej, że armia polska, w tym siły powietrzne, poniosła druzgocącą klęskę we wrześniu 1939 r., niemniej jednak Anglicy nie mieli wyjścia, brakowało im własnego personelu, zaś na ich terenie przebywało wielu żołnierzy, którzy wręcz „palili się” do walki. Dlatego też zdecydowano się powierzyć w ich ręce stery Spitfirów i Hurricainów, które od lipca 1940 do maja 1941 r. toczyły walkę na śmierć i życie z niemiecką Luftwaffe, gdyż stawką tego pojedynku było pokonanie ostatniego zachodniego przeciwnika w Europie. Trudno jest mi w tym miejscu jednoznacznie wyrokować o procentowym wkładzie Polaków w sukcesy RAF-u w tzw. bitwie o Anglię, gdyż historycy wciąż toczą o to spory. Faktem jest jednak, że polscy piloci, a także członkowie ich zespołu, byli postaciami, które odegrały swoją wybitną rolę w tym zwycięstwie.

Na szczęście nie są to w większości anonimowe osoby. Jak możemy się dowiedzieć, zaglądając do tzw. Listy Krzystka (wykazu nazwisk Polaków pracujących w RAF-ie), znajduje się ponad 30 osób, które pochodziły z Powiatu limanowskiego, w tym 11 z samej tylko Limanowej. Liczba ta nie jest jednak kompletna, tak więc naszych krajan mogło być nawet więcej. Niestety pamięć o tych osobach i ich działaniach nie ostała się w świadomości mieszkańców Limanowszczyzny. Podczas gdy w innych zakątkach Polski

z wielką pieczołowitością dba się o choćby symboliczne upamiętnienie związków z lotnikami, czego przykładem może być tablica pamiątkowa w Bobrowie (okolice Brodnicy) gdzie swoje dzieciństwo i młodość spędził jeden z lotników Dywizjonu 303 Jan Zumbach, w Limanowej nie sposób znaleźć żadnych ich śladów. Dotyczy to również publikacji popularno naukowych, gdzie autorzy ani słówkiem nie wspominają o tym temacie. Ktoś powie, Zumbach, to bohater, a nasi to w dużej mierze personel naziemny, zdecydowanie mniej eksponowani bohaterowie. Jest to jednak tylko „półprawda”. Rzeczywiście gros naszych krajan, byli to pracownicy cywilni, głównie mechanicy, jednak wśród nich nie brakuje pilotów, zwiadowców, członków załogi. Mowa tu przede wszystkim o takich osobach jak Józef Krasieński z Mszany Dolnej, lotnik Dywizjonu 301, syn hrabiego Henryka właściciela mszańskich dóbr, czy Kazimierz Stefan Wacnik z Sowlin przedwojenny instruktor lotniczy, jeden z pionierów szybownictwa w Polsce. Do tego grona należy również włączyć mniej znanych pilotów, takich jak Jan ▶



Polacy służący w RAF-ie. Stanisław Surma z Limanowej pierwszy z lewej



Stanisław Surma w Anglii

► Maksymowicz (Maksymo) z Limanowej, czy weteranów września 1939 r., a później pilotów RAF-u Kazimierza Tomasika z Sowlin czy Józefa Hebdę z Pisarzowej. Niektórzy piloci poświęcili w walce z nazizmem to co mieli najcenniejsze, czyli własne życie, tak jak Jerzy Młynarski ze Zbludzy, zestrzelony nad niemieckim miastem Kleve w 1942 r., Franciszek Kubacik z Dobroniowa, którego okoliczności śmierci w 1942 r. nie są znane, czy Bolesław Brzazgacz absolwent wadowickiego Gimnazjum, zmarły w listopadzie 1941 r.

Dlaczego więc Limanowszczyzna nie dopomina się o swoich wybitnych synów, jak również córki, gdyż wśród pracowników naziemnych były także dwie kobiety: Wiktoria Fedoruk z d. Gil z Mszany Dolnej i Zofia Kowalska-Martin z d. Kowalczyk z Lubomierza? Z pewnością jednym z powodów jest fakt, że większość wspomnianych osób po zakończeniu wojny zdecydowała się pozostać na obczyźnie. Ci zaś, którzy powrócili, wybrali sobie do życia inne miejsce. Przez to pamięć o nich nieco się rozmazała. Oczywiście należałoby szczegółowo opisać każdą sylwetkę, nie jest to jednak możliwe, dlatego chciałbym na kilku wybranych przykładach pokazać, jak wyglądała służba limanowian

w RAF-ie, a także kim były te postacie.

### Trzej mechanicy z Sowlin

Jednym z nielicznych, który wrócił był Rudolf Kempny. Urodził się on w Sowlinach w 1912 r. Jego ojciec Rajmund przyjechał na Limanowszczyznę ze Śląska na początku XX wieku do pracy w rafinerii. Rudolf pracował jako mechanik, dzięki czemu jako specjalista od maszyn trafił do Wielkiej Brytanii, gdzie naprawiając uszkodzone samoloty dosłużył do stopnia sierżanta. Po wojnie, jak już wspominałem, wrócił do Sowlin, gdzie był zatrudniony w tamtejszej Centrali Produktów Naftowych (CPN) jako pracownik techniczny. Jego najlepszym kompanem z lat młodości był urodzony w 1913 r. Zygmunt Łysek. Ojciec Łyska, Jan podobnie jak Rajmund Kempny nie był rodowitym limanowianinem, trafił on do Sowlin z Brzeszcz jako specjalista do pracy w rafinerii. To właśnie dzięki Zygmunutowi Łyskowi pracującemu jako mechanik lotniczy w Żabnie, Rudolf trafił do Wielkiej Brytanii, by tam naprawiać samoloty. Wcześniej obydwoj przyjaciele znaleźli się we Francji, zaś gdy ta ogłosiła kapitulację w 1940 r. trafili na Wyspy. O ile jednak Kempny zdecydował się po wojnie wrócić do Polski, Łysek pozostał na emigracji. Najpierw

w Irlandii Północnej, gdzie znalazł sobie żonę (Irlandkę), później zaś w latach 50. XX wieku w obydwójce przenieśli się do Kanady. Łysek w miarę możliwości odwiedzał Polskę, którą mimo przebywania za granicą bardzo kochał – o czym może świadczyć fakt, że kazał się pochować w Brzeszczach skąd pochodziła jego rodzina.

Sowliny jako dzielnica przemysłowa, zagłębie osób o zainteresowaniach technicznych, była również miejscem urodzenia Kazimierza Tomasika, który podobnie jak Łysek zaciągnął się do wojska, by pracować i spełnić swoje marzenia o lataniu. W 1936 r. zapisał się do bydgoskiej Szkoła Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich, która w 1938 r. zmieniła swoją siedzibę na Krosno. Ukończył ją jako specjalista mechanik lotniczy. Brał udział w kampanii wrześniowej, internowany w Rumunii, wzorem setek swoich kolegów i koleżanek trafił najpierw do Francji, a następnie do Wielkiej Brytanii. Tam przez pierwsze kilka lat również pracował jako mechanik, jednak gdy w 1944 r. pojawiła się szansa by usiąść za stery samolotu Dywizjonu 301, nie wahał się ani chwili i zgłosił się na ochotnika. Niestety pół roku później w styczniu 1945 r. został zestrzelony i trafił do niemieckiej niewoli, skąd wydostał się dopiero po kapitulacji III Rzeszy w maju. Powrócił do Wielkiej Brytanii do Dywizjonu 304, jednak nie widząc dla siebie przyszłości na Wyspach porzucił służbę w armii i przeniósł się na stałe do USA, gdzie zmarł we wrześniu 1987 r.

### Latający geograf

Jeszcze ciekawiej wyglądały losy Zdzisława Edwarda Czepe radiooperatora Dywizjonu 300. W tym miejscu chciałbym podziękować jego synowi Panu Profesorowi Tomaszowi Czepe, który zechciał udzielić mi wielu cennych informacji na temat rodziny Czepe. Co ciekawe żadne z rodziców Zdzisława nie było związane z Limanowszczyzną. Jego ojciec Władysław trafił do naszego miasta w okresie I wojny światowej jako notariusz, wkrótce jednak po narodzinach najmłodszego syna rodzina przeniosła się do Ciężkowic. Młodość Zdzisław spędził w Jaśle, gdzie uczęszczał do tamtejszego Gimnazjum. Po zdaniu egzaminów w 1936 r. rozpoczął studia najpierw na Politechnice Lwowskiej, następnie zaś podjął się studiowania geografii

na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po wybuchu II wojny światowej był internowany w Rumunii, skąd trafił do Francji a następnie do Wielkiej Brytanii. Chcąc jak najszybciej walczyć z przeciwnikiem zaangażował się jako radiooperator do RAF-u, gdyż szkolenia na pilota trwały zdecydowanie dłużej. Najprawdopodobniej był on jedynym geografem, który latał bojowo w szeregach brytyjskich sił powietrznych w trakcie II wojny światowej. Po jej zakończeniu początkowo studiował na Uniwersytecie Londyńskim, wkrótce jednak w 1947 r. powrócił do Polski tym razem jednak do Wrocławia, gdzie z powodzeniem dokończył przerwane przez wojnę studia. Po ich ukończeniu rozpoczął pracę na Wydziale Geografii Uniwersytetu Wrocławskiego, po czym w 1949 r. przeniósł się na swój przedwojenny Uniwersytet do Krakowa, którego to profesorem został w 1978 r. Był szanowanym i lubianym naukowcem, prowadził badania na Spitzbergenie. Zmarł w 1991 r.

Nie sposób nie wspomnieć szerzej o wzmiankowanym już Kazimierzu Edwardzie Wacniku, Sowliniaku, który przed wojną święcił sukcesy jako członek Aeroklubu Lwowskiego, zaś w trakcie II wojny światowej jako członek Dywizjonu 306 odznaczył się udziałem w ostatniej zwycięskiej akcji, jaką przeprowadzili polscy lotnicy w kwietniu 1945 r., kiedy to zestrzelili trzy wrogie samoloty w trakcie nalotu na Niemcy. Wacnik był podobnie jak jego starszy brat Stanisław jednym z pionierów lotnictwa szybowcowego w Polsce. To właśnie spod ręki Edwarda wyszła m.in. „pierwsza dama polskiego nieba” Irena Kempówna-Zabiełło, wielokrotna mistrzyni Polski, a także rekordzistka świata. Sam Wacnik po swojej przygodzie w RAF-ie nigdy nie zdecydował się powrócić do Polski i pozostał w Wielkiej Brytanii aż do śmierci.

## Bracia Surmy

W wykazie nazwisk Polaków pracujących w RAF-ie odnajdujemy również braci Stanisława i Zygmunta Surmów z Limanowej. Pochodzili oni z rodziny mieszkającej „Pod Górą” (dziś ul. Leśna) w Limanowej.

Magdalena z domu Tomaszek i Antoni Surmowie mieli sześcioro dzieci, trzy córki: Antoninę, Janinę i Michalinę oraz trzech synów: Stanisława, Zygmunta i Jana.

Losy wojenne rodziny Surmów były tragiczne. Magdalena i Antoni Surmowie



Stanisław Surma



Zygmunt Surma

oraz najmłodszy syn Jan (19 lat) zostali rozstrzelani w 1944 r. w Rdziostowie koło Nowego Sącza. Ekshumowani w roku 1945 spoczywają na cmentarzu parafialnym w obrębie kwatery wojennej nr 366 w Limanowej. Losy Stanisława i Zygmunta związane zostały z kampanią wrześniową i „Bitwą o Anglię”. Po wojnie Zygmunt wyjechał do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Nie utrzymywał kontaktu z rodziną. Stanisław przez dwa lata mieszkał we Francji, a następnie wyjechał do Argentyny, gdzie miał rodzinę i dorobił się dużej firmy. Zmarł w 2006 r. On to właśnie utrzymywał ścisłe kontakty z rodziną w Polsce, do której po raz pierwszy przyjechał w 1976 r. Wówczas odwiedził siostry, które ocalały z wojennej zawieruchy. Mieszkał u Antoniny Wojtas. Nawet wiązał nadzieje biznesowe z jej synem Maciejem, który był u wuja z rewizytą w Argentynie. Jednak do sfinalizowania zamiarów wuja Stanisława nigdy nie doszło. Dzisiaj Maciej ma własną firmę znaną na rynku biznesowym w Limanowej.

Nawiązując do okresu II wojny światowej, warto wrócić do wspomnianej kampanii wrześniowej z 1939 roku, którą opisał Stanisław Surma w liście do szkolnego kolegi, późniejszego ks. bp. Piotra Bednarczyka. List ten opublikowany został w limanowskim biuletynie „Mater Dolorosa” (nr 2, kwiecień-czerwiec 1996 r.).

Oto fragment jednego z opisanych wydarzeń: (...) *Od pierwszego dnia wojny co dwa dni zmieniamy lotnisko, maszyny wylatują na ostrzeliwanie, masy czołgów co prą na Warszawę. Dnia 9 września lotnisko nasze na prawym brzegu Wisły pod Dęblinem zostało zbombardowane, jeden niemiecki bombowiec został przez naszą obronę przeciwlotniczą zniszczony. 10 września przyszedł rozkaz odprowadzenia wszystkich zdolnych do lotu maszyn do 6 dywizjonu, a personel ziemny i latający miał udać się w stronę granicy rumuńskiej, aby przyjąć nowy sprzęt od aliantów(...).*

Pełny tekst listu (wspomnień z września 1939 r.) Stanisława Surmy zostanie opublikowany w następnym wydaniu „Echa Limanowskiego”.

Z okazji okrągłej, 80. rocznicy ataku nazistowskich Niemiec na Polskę warto przypomnieć sylwetki kilku naszych krajan, którzy swoimi działaniami przyczynili się do klęski wrześniowych agresorów. Warto pamiętać, że także limanowianie byli w centrum najważniejszych historycznych wydarzeń, jakie miały miejsce w XX wieku. Historia polskiego lotnictwa, gdyż jeszcze raz podkreślę, że nie tylko pilotów, ale i całego personelu, w czasie II wojny światowej była chlubną kartą, o której należy mówić i którą należy się chwalić także w naszym, limanowskim kontekście.

**Fotografie: arch. rodziny Wojtasów**

# Ślady września 1939 r. na Ziemi Limanowskiej – cz. 1

Przemysław Bukowiec

1 września mija osiemdziesiąta rocznica agresji III Rzeszy Niemieckiej na państwo polskie a zarazem początek drugiej wojny światowej. Na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat (po 1989 r.) wielu badaczom historii regionu udało się zgromadzić lub wydać interesujący materiał źródłowy. Relacje i materiały archiwalne rzucają nowe światło na przebieg wydarzeń wojny obronnej na pograniczu Beskidu Wyspowego i Gorców.

## Na drodze ku wojnie

W 1939 r. wobec agresywnej polityki hitlerowskich Niemiec w stosunku do sąsiadów (aneksja Austrii, rozbiór Czechosłowacji) z niepokojem obserwowano rozwój sytuacji w Europie środkowo-wschodniej. Od początku roku z coraz większym natężeniem napływały żądania III Rzeszy wobec Polski dotyczące uzyskania dostępu, tzw. „korytarza” eksterytorialnego do Prus Wschodnich, przyłączenia Gdańska oraz przystąpienia do paktu antykominternowskiego. Rząd Rzeczypospolitej odrzucił żądania za pośrednictwem Ministra Spraw Zagranicznych Józefa Becka. 23 sierpnia, w Moskwie, III Rzesza i ZSRS zawarły tzw. Pakt Ribbentrop-Mołotow, którego tajny protokół dodatkowo dotyczył aneksji i rozdziału terytoriów suwerennych państw: Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii i Rumunii. Dwa dni później Wielka Brytania zawarła z państwem polskim układ o wzajemnej pomocy. Przygotowania do wojny trwały pomiędzy późną wiosną i latem 1939r. Organizacja obrony kraju spoczywała na związkach taktycznych i koncentracji zgrupowań dużych jednostek wojskowych. Na południowo-zachodnich krańcach państwa miały operować dwa związki operacyjno-taktyczne Wojska Polskiego. Armia „Kraków” gen. bryg. Antoniego Szyllinga, osłaniająca Górny Śląsk i zachodnią Małopolskę oraz Armia „Karpaty” gen. dyw. Kazimierza Fabrycego, broniąca południowego pasa granicznego, opierając obronę o linię Karpat. Na styku armii znalazła się Ziemia Limanowska. Linia rozdzielająca dwie armie przebiegała od granicy z południa na północ przez miejscowości: Grywałd, Ochotnica, Kamienica, Zamieście, Trzciana. Wzdłuż południowej granicy Polski, na Słowacji skoncentrowała swoje siły XIV armia gen. Wilhelma Lista. 1 września we wczesnych

godzinach porannych Niemcy natarli na całym południowym odcinku. XXII Korpus gen. Paula von Kleista: 2 Dywizja Pancerna, 4 Dywizja Lekka i 3 Dywizja Górską. Wkrótce atak na odcinku tatrzańsko-spiskim wymusił na polskim dowództwie zmiany w organizacji działań obronnych.

## Relacje Józefa Koniecznego ze Skrzydlnej

W dniach 1-3 września na omawianym pokrótce odcinku rozgrywała się tzw. „bitwa graniczna”. Jej celem było opóźnianie natarcia niemieckiego z terenu Słowacji. Do wsparcia działań na południowym odcinku Armii „Kraków” została wysłana 10 Brygada Kawalerii Zmechanizowanej płk. Stanisława Maczka. Krwawe walki stoczone w bitwie pod Jordanowem dały efekt tymczasowego zamknięcia niemieckiego pochodu w kierunku Rabki i na Myślenice. Niemcom nie udało się oskrzydlić Armii „Kraków”. Wobec aktywnych działań wroga w rejonie Spisza, Orawy, Pienin oraz Gorców, polskie jednostki musiały stopniowo organizować odwrót i oparcie obrony na linii rzek: Dunajec-Nida. Zadaniem 10 BKZ było ryglowanie dostępu doliną Raby do Myślenic, Dobczyc oraz obsadzenie przełęczy: Jaworzycy i Wielkie Drogi w kierunku Kasiny Wielkiej i Śnieżnicy, mając na uwadze kontrolę węzłów komunikacyjnych na Tymbark i Limanową. Swoje obserwacje z działań wojennych zanotował wówczas świadek tamtych wydarzeń, organista ze Skrzydlnej, sekretarz tamtejszej gminy, Józef Konieczny. [3 września – przyp. aut.] *walec pożogi i wojny choć powoli, lecz nieubłaganie zbliża i toczy się ku nam i już jest blisko. Ku wieczorowi tej niedzieli, w trakcie ciągłej kano-nady od strony Mszany – słyszymy jakieś*



Płk dypl. Stanisław Maczek. Fot. NAC

*zageszczone, potężne huki. Domyślamy się, że to bombardowanie jakichś obiektów w Mszanie Dolnej.[...]Gdy jednakże po pewnym czasie wśród fali uciekających ciągle ku północy napotykamy „mszanków” – dowiadujemy się, że tylko kilka domów „na Zarabiu” zostało spalonych i coś trzy cywilne osoby zginęły w czasie tego bombardowania.[...]Wieczorem, niesamowita łuna pożarów – czerwieni cały zachodni nieboskłon. W rzeczy samej w tym czasie w porze popołudniowo-wieczornej, zacieklą walkę toczyli żołnierze 1 pułku piechoty Korpusu Ochrony Pogranicza pod dowództwem ppłk. Wojciecha Wójcika. Polacy w dramatycznych okolicznościach odpierali ataki niemieckiej 4 Dywizji Lekkiej na odcinku Rabka-Mszana Dolna. W dodatku polskie formacje były oskrzydlane przez Gorce wzdłuż Olszówki, Niedźwiedzia i Mszany Górnej przez 3 Dywizję Górską. Ostatecznie Niemcy zostali odrzuceni do Tenczyna, natomiast kolejną linię obrony ustalono między górami Beskidów Makowskiego i Wyspowego, tj. Lubomirem, Wierzbanowską Górą, Cietniem oraz Kasiną Wielką. Ze Skrzydlnej wieczorem ewakuują się: gmina, policja, uciekają nauczycielki. Z nimi ucieka też ks. wikary Robak, zabierając na ucieczkę*



Obelisk za Sępiną na pograniczu Skrzydłnej i Woli Skrzydłańskiej upamiętniający miejsce egzekucji na mieszkańcach dokonanej przez żołnierzy niemieckich we wrześniu 1939 r. Fot. P. Bukowiec

starego, chorego, ks. Proboszcza. Kościół pozostał pusty. Ja lawiruję ciągle między „rynkami” [w Skrzydłnej – przyp. aut.] a domem moim, gdzie zatrzymałem uciekających znajomych z Ludźmierza na Podhalu, najdłużej jednak przebywam „na dziale”, wzniesieniu, skąd widać drogę Wierzbanowa – Kasina Wielka. W tym czasie 10 BKZ przegrupowała się przez Dobczyce w rejon Kasiny Wielkiej. Płk Maczek wykorzystywał naturalne

ukształtowanie szczytów i przełęczy w Beskidzie Wyspowym do ryglowania drogi niemieckiemu XXII Korpusowi. 4 września polskie jednostki z terenu Kasiny Wielkiej podjęły manewr zaczepny wobec wroga. Warto nadmienić, co często pojawia się w relacjach świadków, oprócz wszechobecnego chaosu, wzniesionych pożarów oraz pospolitych rabunków jedną z największych tragedii były rzesze uciekinierów, przemierzających

się z południa na północ. W wielu przypadkach ludzie w zwartych kolumnach blokowali drogę dla ruchu polskich wojsk, starających się przegrupować.

## 4 września – starcie pod Kasiną Wielką

Nad ranem w poniedziałek, 4 września w Kasinie Wielkiej i Węglówce znalazły się główne siły przegrupowanej 10 BKZ oraz 1 pp KOP. Żołnierze polscy z drugiej formacji byli doszczętnie wyczerpani ciągłą walką. Do natarcia przystąpiły dwie kompanie czołgów oraz 24 pułk piechoty. [...] atak rozpoczął się już dobrze po świcie, Niemcy atakiem byli zaskoczeni i odrzuceni z Kasiny przez Mogiłki i Przymiarki aż pod Mszaną Dolną, gdzie dopiero Niemcy się pozbięrali i rozpoczęli kontratak, a gdy ten się nie powiódł – drugi po silnym przygotowaniu artyleryjskim, aż wreszcie ułani wycofali się z powrotem na Mogiłki i pod Śnieżnicę, gdzie utrzymali się do nocy. Józef Konieczny relacjonował wymianę ognia między stanowiskami artylerii polskiej z przełęczy Wielkie Drogi w kierunku pozycji niemieckich na „Mogilkach” w Kasinie, co spotykało się z odpowiedzią niemieckiej artylerii i ostrzałem Woli Skrzydłańskiej. Straty tego dnia po stronie polskiej wyniosły kilkunastu żołnierzy 24 pułku ułanów. Polegli: por. Zdzisław Hempel oraz por. Zygmunt Gasztold-Bukraba. Stracono 2 czołgi „vickers” i kilka tankietek.

Główną bolączką płk. Maczka było zabezpieczenie przełęczy Gruszowiec przed możliwą próbą oskrzydlenia 10 BKZ przez Niemców. Stąd jeszcze 4 września linia polskiej obrony została przesunięta przez centrum Skrzydłnej w kierunku wschodnim. Wysłano również patrole rozpoznawcze w kierunku Dobrej i Tymbarku. Koło „rynku” w Skrzydłnej, drobne grupki dywizjonu rozpoznawczego 10 BK zajmują stanowiska, przygotowując się do odparcia spodziewanego od Kasiny i Woli Skrzydłańskiej natarcia niemieckiego. Kto żyw, jeszcze ucieka ze Skrzydłnej. [...] Obrona Skrzydłnej tylko od dywizjonu rozpoznawczego mjr Świącickiego, a ten stanowiska obronne upatrzył wokół rynku, a nie w Górnej Skrzydłnej. Obsadzając Skrzydłną dywizjon rozpoznawczy wysłał o świcie 5 września patrole na rozpoznanie. Te stwierdziły obecność przeciwnika w Dobrej oraz ruch broni pancernej ▶

► w kierunku Tymbarku. Rankiem przed polskimi stanowiskami w Skrzydłnej pojawił się patrol niemieckiej kawalerii oraz grupa cyklistów, którą wciągnięto w zasadzkę i zlikwidowano. Ze Skrzydłnej zachowała się jedynie relacja o śmierci niemieckiego kawalerzysty pod Górką (nad starym cmentarzem) oraz trzech innych Niemców.

## 5 września – początek terroru okupanta

Wspomniany wcześniej Józef Konieczny podjął decyzję o ewakuacji swoich bliskich do Stróży, natomiast sam powrócił do Skrzydłnej w celu zabezpieczenia domostwa na wypadek pożaru. Będąc na miejscu, udał się na swoje stałe miejsce widokowe „na dziale”, skąd obserwował ostrzał artylerii niemieckiej w kierunku Wierzbanowej nad górą Ciecień. [...]byłem naocznym świadkiem wmaszerowania niemieckich oddziałów do Skrzydłnej, i tych od Kasiny, i tych od Dobrej, którzy zaflankowali naszą obronę Skrzydłnej, jak też tych, którzy rygiel 10 BK objechali od wschodu – wydostając się z gór na dogodniejsze dla siebie tereny ku północy. Józef Konieczny odnotował też tragiczne zdarzenie z tamtego dnia. Tymczasem drogą z Dzielca, już ku szkole w Woli Skrz.[ydląńskiej] dochodzą Niemcy – po obu stronach drogi piechota gęśiego a środkiem czołgi i auta. Za chwilę od rynku zaczyna grać kilka ckm-ów a z Sępiny wybiega kilku żołnierzy naszych, którzy biegną w stronę rynku. Była to jakaś grupka zwiadowcza i ci w stronę zbliżających się Niemców oddali kilka strzałów. O strzały te posadzili Niemcy ludność cywilną i połapali mężczyzn z domów przydrożnych w dolinie za Sępiną. Z tych wyrwało się spod straży dwu tj. Cieślak Stanisław z Woli, któremu udało się szczęśliwie zbiec. Natomiast drugi z uciekających – Sieja Stanisław ze Skrzydłnej, w ucieczce został postrzelony w głowę, tracąc oko. Mimo tej rany dobiegł do Wiśniowej, skąd jeszcze jakimś autem wojskowym dojechał do Tarnowa, gdzie mu dopiero ranę opatrzono i skierowano do szpitala. Dr Dawid Golik w swojej publikacji „Wrzesień doliną Dunajca” skrupulatnie odtworzył zmagania Polaków, Niemców i Słowaków. Jednym z aspektów, który często się powtarzał zarówno w relacjach ludności cywilnej jak i żołnierzy niemieckich, było stosowanie przez tych ostatnich tzw. „zbiorowej



Kasina Wielka. Pomnik upamiętniający poległych żołnierzy 24 p. ułanów, walczących w wojnie obronnej we wrześniu 1939 r. Głowę Chrystusa w cierniowej koronie osadzono na wieżyczce czołgu „Vickers”. Fot. P. Bukowiec

odpowiedzialności”. Niemcy w wielu przypadkach ostrzeliwani w wioskach zza budynków popadali w konsternację, nerwowość, która prowadziła do krwawych represji. Uznawano, że Polacy są przeszkoleni do prowadzenia działalności dywersyjnej na zapleczu frontu.

Dla propagandy niemieckiej było to jak woda na młyn w szerzeniu wiadomości, że Polacy „strzelają zza węgła” do żołnierzy Wehrmachtu, co miało usprawiedliwiać brutalne zachowanie tych drugich. Nie inaczej było w Skrzydłnej. Wspomniani wcześniej cywile, posadzeni



przez żołnierzy niemieckich o strzelaniu z ukrycia zostali aresztowani. Schwytanych mężczyzn skazano na rozstrzelanie, a wyrok wykonano pod mostem granicznym między Skrzydlną a Wolą Skrzydlańską za Sępiną. Jak podaje Józef Konieczny w egzekucji zginęli: *Jan Górlński lat 53 ze Skrzydlniej[...], jego syn Władysław 17 lat liczący.[...] Józef Kaleta lat 43 ze Skrzydlniej, Jakub Kaleta 15-to letni ze Skrzydlniej,[...] Stanisław Jeżyk lat 17 ze Skrzydlniej,[...] Bielski Stanisław lat 19 z Woli Skrz.[ydlańskiej],[...] Józef Królikowski głuchoniemy lat 37 z Woli [Skrzydlańskiej],[...] Franciszek Klempka robotnik kol.[ejowy] Ze Skawy i Jan Kułach z Poronina. Ponadto za Sępiną Niemcy spalili dwa obejścia. W Skrzydlniej spalono tartak parowy, osiem domów, tyle samo zabudowań gospodarczych oraz dwie stodoły. W Przenoszy spalono cztery obejścia i stodołę. Co znaczące, jak podaje Konieczny, pożary w ograniczonych przypadkach były wynikiem walk, a w znacznej mierze zostały rozniecone rozmyślnie przez żołnierzy niemieckich. W dalszym pochodzie w kierunku północnym płonęły zabudowania w Szczyrzycu, Raciborzanach i Smykani. Niemieckie oskrzydlenie i atak na Skrzydlną skutkowało wycofaniem polskich formacji w kierunku Szczyrzyca oraz Gruszowa. Wśród ofiar po polskiej stronie znalazło się trzech szeregowców i oficer m.in. dowódca II plutonu szwadronu strzelców, ppor. Józef Bielatowicz. W Porąbce Niemcy przeprowadzili zasadzkę na zwiad polskich motocyklistów. Dwóch poległo. Jeden z żołnierzy ciężko ranny, wniesiony do domu Teofila Miki, spłonął w wyniku podpalenia domu od pocisku. Na drogach często napotymano porzucony lub zniszczony sprzęt wojskowy. Tak było z uszkodzonym działkiem przeciwpancernym na drodze z Przenoszy do Gruszowa czy ciągnikiem wojskowym na Ługowinie. Był to praktycznie koniec działań wojennych w północno-zachodniej części Ziemi Limanowskiej. Poszczególne pododdziały 10 BKZ przegrupowały się w kierunku Wiśnicza.*

## Ukryta broń 156 pułku piechoty

Na koniec Józef Konieczny przytacza pewien epizod. Mianowicie według jego relacji wojska niemieckie przemieszczające się ze Szczyrzyca w kierunku na Dąbie natrafiły na zasadzkę przygotowaną przez

jeden z batalionów 156 pułku piechoty co zatrzymało tymczasowo ofensywę. Wojska niemieckie ruszyły przez Górę Św. Jana, Jodłownik i Krasne-Lasocice, oskrzydając pozycje polskie w rejonie góry Grodzisko. Zwłoki niemieckich żołnierzy miały być przewiezione samochodami na zaplecze frontu, zatrzymując się na postój w parku dworskim w Skrzydlniej, czego świadkiem był ówczesny wójt gminy – Jan Pala, właściciel dworu. Podobną relację zebrał Józef Konieczny od sołtysa wsi Pogorzany. Jan Frys relacjonował, że po zakończonych walkach, został wezwany do domu pani Falowej, Niemki ze Szczyrzyca, gdzie oficerowie niemieccy zażądali od niego podpisania dokumentów. Jak zdążył zauważyć były to karty zgonu poszczególnych żołnierzy, podające lokalizację śmierci oraz miejsce pochówku. Skąd wziął się 156 pułk piechoty w rejonie Grodziska i Księżej Góry? Otóż była to formacja rezerwowa, powołana na bazie żołnierzy rezerwowych 1 Pułku Strzelców Podhalańskich z Nowego Sącza, co interesujące w znacznej mierze wywodzących się z Limanowszczyzny. Dowódcą pułku został ppłk. Walerian Młyniec. Jednostka miała osiągnąć gotowość bojową dopiero 10-11 września. Jednak na zaplecze frontu dotarła już 4 września w niepełnym stanie. W wyniku bombardowania węzła kolejowego w rejonie Wieliczki, 156 pp., podporządkowano Grupie Operacyjnej „Boruta”, by następnie podlegała 10 BKZ. Płk Maczek dostrzegając osłabione morale żołnierzy 156 pp., co było wynikiem wrażeń ostatniego bombardowania, wydał dyspozycję rozlokowania pułku w rejonie wzgórz nad Wiśniową tj. w rejon Grodziska. Wobec oskrzydlenia przez Niemców 156 pp. wśród żołnierzy nastąpiło rozprężenie, nastroj paniki. 7 września dowódca, ppłk Młyniec wydał dyspozycję aby żołnierze próbowali się przebić małymi formacjami na własną rękę w kierunku północno-zachodnim. Sam zaś jeszcze tego samego dnia popełnił samobójstwo. Części żołnierzy udało się nocą, leśnymi duktami przedostać do polskich formacji. Pozostali zamelinowali dużą ilość broni, tj. karabinów w rejonie Grodziska rozpraszając się w różnych kierunkach. To właśnie tę broń odnaleźli w późniejszym okresie żołnierze pierwszej placówki ZWZ. Broń posłużyła późniejszym oddziałom Armii Krajowej do walki z okupantem.

## Wieża z „Vickersa” i pomnik za Sępiną

W czasie końcowej fazy działań, w środę 6 września, żołnierze niemieccy otwarli ogień do ludności cywilnej, powracającej do Szczyrzyca z wojennej zawieruchy. Zginęło 47 osób, w tym sześćcioro mieszkańców Przenoszy.[...] *Maria Zającowa, jej synowie Franciszek i Antoni oraz dwu jej wnuków Józef i Antoni[...]* *Jan Konieczny[...]* *a ranną została synowa zabitej – Julia Zającowa. Spalono też kilka domów w przysiółku Wadzyn. Po zakończeniu działań wojennych, 8 września, po mszy św., dokonano pochówku ofiar wojny zarówno cywilnych, jak i wojskowych. Cywili rozstrzelanych za Sępiną pochowano obok rodzin. Za zgodą okupacyjnych władz przeprowadzono pochówek niemieckich żołnierzy, których po jakimś czasie Niemcy ekshumowali i wywieźli. Na koniec ostatnia relacja Józefa Koniecznego. *Wojsk ciągle pełno w rynku. Cóż za wspaniała pogoda sprzyja ciągle Niemcom! Drogi takie suche, łatwe do przejazdu, nawet polami łatwo przejechać choćby ciężkim wozem i dziwne, że nawet takie liche mostki jak na drodze z Woli do Skrzydlniej,[...] teraz tyle czołgów i aut różnych po sobie przepuściły. W Kasinie Wielkiej na przysiółku „Mogila”, postawiono pomnik pamięci żołnierzy 24 p. ułanów. Miejscowy artysta wykorzystał do tego wieżyczkę z uszkodzonego czołgu „Vickers”. Pomnik znajduje się nieopodal czerwonego szlaku PTTK z Lubogoszczy na stację kolejową w Kasinie Wielkiej. Również ofiary niemieckiej egzekucji zostały upamiętnione w Woli Skrzydlańskiej stosownym obeliskiem, aby pamięć o tamtych tragicznych wydarzeniach nie przepadła w zapomnienie.**

### Fotografie: Przemysław Bukowiec

Autor pragnie serdecznie podziękować Pani Małgorzacie Lis za udostępnienie maszynopisu Józefa Koniecznego: *Najazd Hitlera na Polskę w 1939r.*, doskonale relacjonujący przebieg walk. W tekście wykorzystano następujące publikacje: G. Mazur, W. Rojek, M. Zgórnjak, *Wojna i okupacja na Podkarpaciu i Podhalu*; J. Majka, *Brygada Motorowa Płk. Maczka. 10 Brygada Kawalerii 1937-1939.*

# Orientowanie kościoła Znaczenie i tradycja

Józef Szymon Wroński

Do napisania tego felietonu zachęcił mnie artykuł zatytułowany *O wszystkim po trochu*, autorstwa Pana Antoniego Mamaka, piszącego ze znanostwem, sięgającego w swych licznych artykułach publikowanych na łamach „Echa Limanowskiego”, do własnych przeżyć i doświadczeń rodzinnych, odnoszącego się więc pamięcią do tych czasów, które mnie żywo interesują. We wspomnianym artykule Kolega Antoni, chyba się nie obrazi, jeśli się tak wyrażę, pisze: „Zadaję sobie czasem pytanie, na które nie umiem do końca odpowiedzieć. Dlaczego nasz kościół stanowi wyjątek i wielki ołtarz jest zwrócony w kierunku zachodnim, kiedy kościoły budowane są w ten sposób, że wielki ołtarz jest zwrócony w kierunku wschodnim i tak było i u nas przy starym drewnianym kościele. Z opowiadań mojego ojca wynikało, że zaprojektowano go tak ze względów bezpieczeństwa, ponieważ duży nasyp ziemi nie mógłby utrzymać olbrzymiego ciężaru wieży<sup>1</sup>. I pisze Kolega Antoni dalej tak: „Proszę o wyjaśnienie Pana dr. Szymona Józefa Wrońskiego, znawcę budowli sakralnych, czy takie wyjaśnienie jest prawdziwe, a może przyczyny były inne, ale jakie<sup>2</sup>. Drogi Kolega Antoni, to wyjaśnienie ma rzeczywiście konstrukcyjne uzasadnienie i jest prawdziwe, ale były jeszcze i inne przyczyny. Wspomnę o nich pod koniec artykułu. Najpierw kilka słów wyjaśnienia czy też przypomnienia o genezie orientowania świątyń.

## Rozwinięcie

Orientowanie oznacza ukierunkowanie, skierowanie głównej osi budynku sakralnego na Wschód<sup>3</sup>. Był to prastary zwyczaj, utrwalony od tysiącleci, który wywodzi się z doświadczeń i przekonań, iż światło, energia cieplna, po prostu życiodajne ciepło rodzą się na Wschodzie. Przy powstawaniu kultów solarnych, czyli słonecznych, w starożytnym Oriencie, względnie w kultach czy kulturach, które czciły wodza lub panujących wodzów jako bóstwa, przestrzeń kultowa w budowlach, w której odbywały się obrzędy, stawała się odbiciem kosmosu, a zatem ukierunkowana była na Wschód, na słońce, na działanie promieni słonecznych. Tron władcy musiał znajdować się także blisko, jak najbliżej słońca, tutaj naturalnie w rozumieniu symbolicznym, dlatego skierowany był w związku z tym zawsze na Wschód.

Ponieważ kult-boga-słońce<sup>4</sup> za sprawą Konstantyna Wielkiego (ok. 280–337) znalazł „ujście” i transformację oraz zrozumienie w poglądach na chrześcijaństwo, a obraz cesarza od IV w. miał reprezentować Chrystusa, dlatego też wizerunek Chrystusa przybrał cechy imperatora. Jako przykład niech posłuży statua Konstantyna Wielkiego, znajdująca się w Stambule, którego promienista korona słoneczna i kula, którą cesarz

trzyma w ręku, jako kulę ziemską, są atrybutami władcy i wyrazem właśnie takiego myślenia i rozumienia kosmosu i świata. Również orientowanie przybrało symboliczne znaczenie w chrześcijańskim budowaniu i architekturze sakralnej. Orientowanie było związane z wiarą, że stworzenie świata związane jest nierozdzielnie ze wschodzącym na wschodzie światłem, z istniejącym na wschodzie ogrodem Eden, czyli rajem (Rdz. 2.8), z dokonaniem w kierunku wschodnim Wniebowstąpieniem Pańskim (Ps. 68, 34) i w końcu z oczekiwanym powtórnym przyjściem Chrystusa na Sąd Ostateczny ze Wschodu (Mt 24. 27).

Wyobrażenia te, o których była tutaj mowa, nie pozostały bez echa na wystrój średniowiecznych kościołów i katedr w realizacjach plastycznych i ikonograficznych. W licznych przedstawieniach, występujących w apsydach wczesnochrześcijańskich kościołów, jak choćby *Maiestas Domini* – *Chrystus na majestacie*, Chrystus ukazany jest w charakterze reprezentacyjnym, jako boski władca, w chwale, tronujący w mandorli (aureoli w formie owalu) i adorowany przez cztery istoty. Później przedstawienia te zaczęły zniknąć, zastępowane innymi, ale orientowanie świątyń z apsydą (apsydami) i ołtarzem, skierowanym na Wschód, pozostało i utrzymywało się, tak że z czasem

stało się regułą. Już na początku V w. zostało odnotowane przez Paulinusa von Nolę. W ówczesnym czasie istotną rolę, ważniejszą niż orientowanie świątyni odgrywała oś świata (*akson mundi*). Wówczas wejście do świątyni było we wschodniej części budynku, a ołtarz znajdował się po stronie przeciwnej, czyli zachodniej. Bazyliki z wejściem od wschodu znajdowały się przede wszystkim w Rzymie oraz w Afryce Północnej, natomiast rzadziej na Wschodzie, np. w Tyrynsie, Antiochii, Konstantynopolu (wymienić należy tutaj np. kościół pw. św. Apostołów). Takie były także kościoły, zbudowane za panowania Konstantyna Wielkiego w Jerozolimie. Porządek ten zgodny był zwyczajowo ze świątyniami greckimi, w których promienie wschodzącego słońca – przy otwartych podwojach – skupiały się na dominującym wizerunku bóstwa.

W okresie chrześcijańskim było to miejsce kapłana, sprawującego liturgię (ofiary Eucharystyczną), stojącego za ołtarzem, zwróconego na Wschód, prowadzącego wiernych do Boga. Gdy kapłan sprawował liturgię o wschodzie słońca, promienie słoneczne kładły się na ołtarzu, podkreślając symbolikę: Chrystus – Słońce-Sprawiedliwości. W ten sposób zostało utwierdzone sytuowanie ołtarza, zwróconego na Wschód, w stronę wschodzącego słońca, w stronę Ziemi Świętej, skąd przyszło Światło Chrystusa. W *Słowniku terminologicznym Sztuk Pięknych* czytamy: „Od V w. we wschodnim budownictwie kościelnym, a od końca I tysiąclecia także w zachodnim Kościele zwykle orientowano, tzn. zwracano prezbiterium ku wschodowi<sup>5</sup>. Powtórzmy: Tę regułę wypracował wprawdzie Wschód, a na Zachodzie obowiązywała ona dopiero od przełomu stuleci (1000/1001). Nigdy nie stała się jednak *sa da*, co z naciskiem należy podkreślić, była tylko i wyłącznie regułą.

W średniowieczu zdarzały się czasem nieznaczne odchylenia od tej reguły, a więc odejście od ścisłego, astronomicznego ukierunkowania kościoła na Wschód (tak jest np. w katedrze w Gernrode w Niemczech). Odchylenia te można



Otoczenie drugiego (orientowanego), drewnianego kościoła w Limanowej. Fotografia sprzed 1910 roku

próbować wytłumaczyć nieścisłościami czy wahaniem kompasu, którym się posługiwano przy wytyczaniu miejsca pod kościół, również nierównościami terenu. Odnieść je należy także do nowego (powtórnego) założenia, związanego z nowym patronem, jeśli kościół budowany był na starym miejscu, przy nowym założeniu następowały zazwyczaj nieznaczne przesunięcia (względem starego). Ta wypracowana reguła, pod naciskiem różnych uwarunkowań i czynników, zaczęła powoli ustępować; rezygnowano z orientowania, które obowiązywało w średniowieczu (np. kościół Mariacki i kościół św. Floriana w Krakowie, oba ze względu na zorientowanie w kierunku wschodnim, usytuowane są ukosem do placów: kościół Mariacki do Rynku, a kościół św. Floriana do Placu Matejki). W okresie nowożytnym, pod koniec XVI i początku XVII w., a w szczególności

w czasach baroku odchodzono od tej reguły ze względu na różnorakie uwarunkowania m.in. urbanistyczne. I tak np. kościół pw. św. Anny czy kościół OO. Pijarów w Krakowie, zamykający perspektywę ul. św. Jana, nie są już orientowane, ale usytuowane i wkomponowane zostały w miejscowy układ urbanistyczny.

Analogicznie do znaczenia Wschodu w dziejach cywilizacji czy w kulturze i liturgii chrześcijańskiej znaczenie podobne w budownictwie i architekturze zaczęły mieć również pozostałe kierunki świata, niosąc z sobą wymowną symbolikę. I tak zimna Północ oznacza śmierć, zepsucie oraz przemijanie. Świetliste, ciepłe Południe oznacza z kolei świetlistą przyszłość, podczas gdy Zachód to miejsce przeróżnych pokus i igraszek oraz granica, za którą drogi i dróżki prowadzą tylko do świata demonów (ciemnych, diabolicznych sił).

Protestantyzm zarzucił po części zdobyte wieków średnich, między innymi ważne znaczenie pojęcia i wyznacznika Wschodu. Dopiero na przełomie XIX i XX w. zostało ono przez protestantów na nowo „odkryte” i z rozmysłem powracano do wypracowanych przez stulecia doświadczeń i reguł. Z kolei Islam w miejsce pojęcia Wschodu wprowadził pojęcie świętego kamienia w Kaaba (czworoboczna świątynia w Mekce z wmurowanym Czarnym Kamieniem, największą świętością muzułmańską), do którego zwrócone są meczety, a ściślej biorąc ich wielokolumnowa sala modlitw – *liwan*, zorientowana tak, aby w dłuższej ścianie, najbliższej Mekki, zwanej *giblā*, móc wydzielić *mihrab* (niszę wskazującą kierunek Mekki) i *minbar* (kazałnicę).

Kierunki świata odgrywają także ważną rolę w urbanistyce i architekturze. W budowie miast chińskich oś południe – północ wyznacza najważniejszą oś świata, którą faworyzowano i ściśle przestrzegano. Nadmienmy jeszcze dla uzupełnienia, iż *castrum romanum* – obóz legionów rzymskich, stacjonujących w prowincjach, miał również ustalony, regularny układ i zabudowę. Zakładano go początkowo na planie kwadratu, później prostokąta, z dwiema prostopadłe przecinającymi się ulicami, które nazywały się: *decumanus* (była to oś wsch.-zach.) i *cardo* (oś pn.-pd.), zakończone bramami. Na skrzyżowaniu ulic budowano *pretorium*, czyli dom dla dowódcy legionu. Całość otaczano umocnieniami. Rzymski obóz stał się więc pierwowzorem układu wielu miast znajdujących się na obszarach, które leżały w zasięgu kultury Imperium Rzymskiego<sup>6</sup>. Dodajmy dla pełności obrazu, iż domy, a w szczególności dwory polskie też miały ściśle określony układ zwany „na godzinę 11<sup>00</sup>”. Taki układ gwarantował, iż światło słoneczne dotrze o tej godzinie do najważniejszych pomieszczeń dworu, a w ciągu całego dnia obejmie swoim światłem jego wszystkie pomieszczenia, tak że nie będzie w nim wilgoci, a ciemność będzie z niego przepędzana.

## Zakończenie

Kościół limanowski, w przeciwieństwie do dwóch poprzednich świątyń drewnianych, nie jest orientowany, lecz okcydentowany; „wielki ołtarz jest – jak słusznie pisze Kolega Antoni – zwrócony w kierunku zachodnim”<sup>7</sup>. Na terenie naszego miasta orientowany jest kościół

► pw. Wszystkich Świętych w Łososinie Górnej (obecnie dzielnica Limanowej), ale były to czasy średniowiecza, gdy powstawały zręby tego kościoła. Również regułę orientowania wypełnia kościół pw. św. Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach, bo tak życzył sobie ks. prał. Jan Bukowiec, a więc nawiązuje on zarówno do dwóch poprzednich kościołów limanowskich, jak i kościoła w Limanowej-Łososinie Górnej.

A teraz obiecana konkluzja czyli uwarunkowania, które sprawiły, że kościół-pomnik Konstytucji 3 Maja w Limanowej nie jest orientowany. Brak orientowania przy zakładaniu limanowskiego kościoła spowodowały nie tylko warunki bezpieczeństwa, ale też i inne czynniki, które nazwalibyśmy urbanistycznymi i funkcjonalnymi (choćby to, że zakrycia znalazła się po prostu bliżej plebanii). Ale brak orientowania nastąpił w tradycji budownictwa sakralnego w Limanowej dużo wcześniej. Widoczne jest to w tzw. małej architekturze limanowskiej, czyli w kaplicach. Wzniesiona na przełomie XVIII i XIX w. Kaplica Łaski w Mordarce również nie jest orientowana, a budowana pod koniec XIX w. kaplica pw. św. Krzyża na cmentarzu parafialnym, zwana kaplicą Marsów, również nie jest orientowana, lecz okcydentowana (zwrócona fasadą w stronę przebiegającej drogi (obecnie ulicy)). Przy sytuowaniu limanowskiego kościoła w rynku chodziło nie tylko o względy prestiżowe, lecz także moralne. „Nadto względy moralne – zanotował ks. Łazarski – przemawiały za tym, aby kościoła nie przenosić poza obręb miasteczka, nie usuwać z rynku i nie zatrzeć przez to jego chrześcijańskiego charakteru [...]. W rynku tym, z małymi wyjątkami, osiedlili się byli Żydzi [...]”<sup>8</sup>. Dlatego też podjęto długoletnie pertraktacje o usunięcie dopiero co wystawionego budynku sądu i więzienia, zasłaniających stary kościół, zakończone pomyślnie, gdyż efektem była ich rozbiórka. Skoro podjęto taką akcję, to nie po to, by fasada przyszłego kościoła skierowana była w stronę Potoku Starowiejskiego. W warunkach do konkursu na kościół limanowski czytamy: „Usytuowanie kościoła jest dowolne, bez obowiązku orientowania, lecz takie, „aby kościół można było obejść dookoła z procesją”<sup>9</sup>, a więc wolno stojące. Żaden z [projektowych] kościołów nie jest więc orientowany. Architekci rozwiązali tak lokalizację, aby zgodnie z wymogami



Drugi - drewniany kościół w Limanowej - orientowany. Widok od strony Potoku Starowiejskiego. Fotografia z początku XX wieku

konkursu kościół miał widoczne dwie fasady: frontową i [elewację] boczną; przy czym fasada frontowa była oglądana lekko pod kątem, a [elewacja] boczna mniej widoczna, zaznaczała się bądź to kaplicą, bądź podcieniem czy też transeptem.

Fasada frontowa, która odgrywa niezmiernie ważną rolę w tradycji budownictwa sakralnego, tworząc w miastach kontekst urbanistyczno-społeczny, chociażby tylko z racji wieży, stanowiącej dominantę założenia, rozwiązana jest reprezentacyjnie, aczkolwiek widoczna jest próba kształtowania całej bryły, by oglądany kościół z różnych stron prezentował się za każdym razem inaczej (malowniczo). Również względy bezpieczeństwa, a więc konstrukcyjne

odgrywały znaczną rolę. Skoro fundamenty obecnej wieży w tym miejscu, gdzie została ona zbudowana, sięgają 5 m w głąb gruntu (licząc od poziomu rynku, to jak głęboko musiałby sięgać, gdyby zdecydowano się usytuować wieżę od strony przeciwnej? Nie wspominając tu o innych jeszcze uwarunkowaniach, chcę zakończyć mój wywód cytatem z listu arch. Zdzisława Mączyńskiego do ks. Kazimierza Łazarskiego, w którym architekt jednoznacznie stwierdza: „Aby środek ciężkości kościoła przenieść ku rynkowi, projektowałem ustawienie wieży na osi prostopadłej do przylegającej połaci rynku. Ustawienie takie a nie inne dyktuje forma placu, co nie jest rzeczą mało ważną”<sup>10</sup>. Tak więc



Współczesny kościół limanowski (bazylika Matki Bożej Bolesnej) - nie orientowany

przy budowie limanowskiego kościoła zarówno ze względów prestiżowych, reprezentacyjnych, społecznych, moralnych i funkcjonalnych oraz bezpieczniego posadowienia świątyni w tym wieży, odstąpiono od tradycyjnego, wielowiekowego orientowania, skierowując prezbiterium w stronę zachodnią, co nazywamy okcydentowaniem, a symboliczna, wymowna fasada, stanowiąca poniekąd scenę *teatrum sacrum* na wolnym powietrzu, na tle której odbywają się liczne uroczystości, zwrócona jest w stronę wschodnią.

Gdy spojrzymy na fasadę w jej szczycie widnieje rzeźba Chrystusa na krzyżu mówiąca o odkupieńczej roli Chrystusa w dziele zbawienia. Gdy spojrzymy

z kolei na tympanon portalu ujrzymy tam Maryję – Nową Ewę, która otworzyła drzwi do Nowego Raju – Niebiańskiego Jeruzalem, będąc zarazem współodkupicielką w dziele zbawienia. A centralne okno w fasadzie bazyliki, przez które o poranku przedostają się do wnętrza promienie słoneczne, zwane oknem słońca, poświadczą, że kompozycja jest na wskroś przemyślana. Gdy promienie słońca rozjaśnią witraż, a oglądamy owo okno od wewnątrz świątyni, działa ono na nas jak rozpromienione słońce. Widzimy wówczas Dawida, który grając na harfie sławi Boga-Stwórcę. Kompozycja ta jest wyjątkowa, nawiązuje ona do rozwiązań francuskich katedr. I dobrze się stało, że te wszystkie uwarunkowania

uwzględniono, bowiem nasza piękna bazylika kolegiacka zwraca swoją wymowną, symboliczną twarz – fasadę w stronę limanowskiego Rynku, a więc w stronę masowego odbiorcy. Na niej zapisane są sceny plastyczne (jakby w zatrzymanym kadrze filmu), z których płynie moc przekazu o tajemnicy Wcielenia i objawionej prawdzie, mającej wymiar społeczny i edukacyjny. Ilustrując dzieje tajemnicy naszego Odkupienia, oddziałując na nasze umysły, kształcąc je i zachęcając do pobożności, utrzymuje nas w łasce religii i pięknie. To misterium trwa wciąż – nieustannie i dzieje się na naszych oczach codziennie poprzez rzeźbiarski przekaz w „wizualnej epoce obrazu”. To zaiste publiczna manifestacja chrześcijaństwa.

*Dziękuję seniorowi Antoniemu za ważne pytanie, bowiem mogłem szerzej przyrzeć się problemowi orientowania kościołów i udzielić informacji dlaczego kościół limanowski nie jest orientowany.*

**Józef Szymon Wroński**  
Fotografie: arch. „Echa Limanowskiego”

<sup>1</sup> Antoni Mamak, *O wszystkim po trochu*, „Echo Limanowskie”, R.XXVI, nr 284-285 (Maj-Czerwiec) 2018, s. 13.

<sup>2</sup> Tamże.

<sup>3</sup> Zob. *Lexikon der Kunst*, T. III: Li – P, Leipzig 1975, s. 673.

<sup>4</sup> Na przykład skarabeusz (*scarabaeus sacer*), czyli święty żuk egipski, czczony był pod imieniem *Chepry*, jako bóstwo wschodzącego słońca i symbol zmartwychwstania. Skarabeusze wyrzeźbione (w kamieniu, fajansie, szkłe, glinie lub metalu) noszono w charakterze amuletów i obdarzano nimi zmarłych. Za: *Encyklopedia Sztuki Starożytnej*, Warszawa 1974, s. 419.

<sup>5</sup> *Słownik terminologiczny Sztuk Pięknych*, wyd. 2. poprawione, PWN Warszawa 1997, s. 207 (hasło: kościół).

<sup>6</sup> Krystyna Zwolińska, Zaslaw Malicki, *Mały Słownik Terminów Plastycznych*, wyd. IV, Warszawa 1993, s. 268–269.

<sup>7</sup> Antoni Mamak, *O wszystkim po trochu*, op. cit., s. 13.

<sup>8</sup> Kronika Parafialna, s. 44.

<sup>9</sup> Józef Szymon Wroński, *Bazylika Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Pasjonujące początki. Krakowski konkurs architektoniczny na projekt kościoła-pomnika Konstytucji 3 Maja*, Limanowa 2012, s. 25.

<sup>10</sup> Tamże, s. 105.



# WEŹ WYGODNY KREDYT NA SZCZĘŚCIE

Zdecyduj co wybierasz:

- ✓ niższą prowizję
- ✓ obniżone oprocentowanie

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) wynosi 11,06% dla Klienta posiadającego rachunek w Banku - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu (bez kredytowanych kosztów) 10 000 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 320,47 zł i jedna rata 322,12 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 9,50% w stosunku rocznym. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 11 688,57 zł, w tym: całkowita kwota kredytu – 10 000 zł, całkowity koszt kredytu – 1 688,57 zł, na który składają się: odsetki – 1 538,57 zł, prowizja za udzielenie kredytu – 150 zł, usługi dodatkowe – 0 zł oraz opłata przygotowawcza – 0 zł. Kalkulacja została dokonana na dzień 19.03.2019r. na przykładzie reprezentatywnym. Przyznanie kredytu przez Bank uzależnione jest od pozytywnej oceny zdolności kredytowej. Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

# NOWE MIESZKANIA

W ZABUDOWIE SZEREGOWEJ

JUŻ W SPRZEDAŻY

LIMANOWA, UL. KOCHANOWSKIEGO



OSIEDLE  
KOCHANOWSKIEGO

tel. 604 426 516

tel. 696 567 753

e-mail: [anna.dziedzic@impuls-psb.pl](mailto:anna.dziedzic@impuls-psb.pl)

[www.kochanowskiego.limanowa.pl](http://www.kochanowskiego.limanowa.pl)